



SEMPER FIDELIS

ISSN 0866-9414

MARZEC - KWIECIEŃ
1994

2 (19) 1994

PISMO TOWARZYSTWA MIŁOŚNIKÓW LWOWA I KRESÓW POŁUDNIOWO—WSCHODNICH • WROCŁAW



Kosciuszko

Memoriał Federacji Organizacji Kresowych do Rządu i Parlamentu Rzeczypospolitej Polskiej	1
DANUTA NESPIAK	
Lamentacje Wielkanocne. Między Lwowem, Jerozolimą, a Wrocławiem	3
JERZY MASIOR	
Światy niewielkie	5
Program Racławickiego Towarzystwa Kulturalnego uroczystych obchodów Insurekcji Kościuszkowskiej	7
MACIEJ MATWIJÓW	
Rola profesora Mieczysława Gębarowicza w ratowaniu polskich dóbr kulturalnych we Lwowie.	8
BRONISŁAW SZEREMETA	
Lotnik — Mieczysław Borodej (1914-1984)	12
KAMILA SCHUSTER	
Z dziejów szkoły PP. Benedyktynek łacińskich we Lwowie	14
BRONISŁAW SIKORSKI	
Lotniczy Lwów	18
JAROSŁAW BUŁAT	
„Orbis” urodził się też we Lwowie	20
ZOFIA BOCHIŃSKA	
Moje szkolne lata — Lwów 1926-1939	21
TADEUSZ RIEDL	
Wieczory lwowskie we Wrocławiu (1971-1974)	22
ANTONI KORAB	
Poeta z Pelczyńskiej	24
EWA KRZYWICKA-BLUM	
Lwowska Szkoła Geodezyjna	26
EUGENIUSZ DMYTRÓW	
Gimnazjum państwowe im. Kazimierza Jagiellończyka w Kołomyi	28
DANUTA TABIŃSKA-JUHASZ	
Wielkanoc w Żywaczowie	31
JAROSŁAW HAAK	
Wałbrzyskie kresowiana	33
DANUTA NESPIAK	
Czortków ma monografię	35
MARIA SAWICKA	
Wspomnienia Wielkanocne. Bałak nad Odrą	39

Redaguje Kolegium w składzie: Krzysztof Bułzacki, Andrzej Chlipalski, Wiesława Jeleńska-Hombek, Andrzej Kamiński, Danuta Kotowicz, Danuta Nespiak, Zdzisław Ojrzyński, Danuta Śliwińska, Danuta Tabińska-Juhasz, Jan Ziembicki

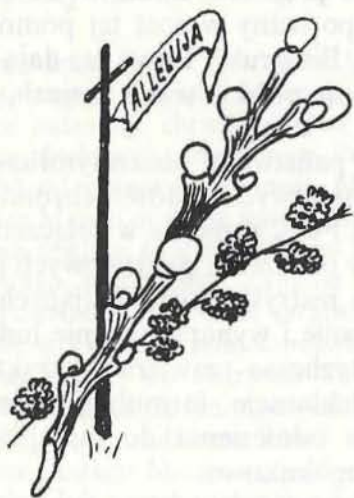
Redakcja: Zdzisław Ojrzyński — redaktor naczelny, Danuta Nespiak

Adres Redakcji: Zarząd Główny Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich, Wrocław, Rynek-Ratusz 7/9 tel. 44-88-93.

Wydawca: Fundacja Kresowa „SEMPER FIDELIS” — PKO IV O/Wrocław
Nr 93549-10012-132-3

Prezes Fundacji Danuta Tabińska-Juhasz

Materiałów nie zamówionych redakcja nie zwraca. W publikowanych tekstach zastrzegamy sobie prawo dokonywania skrótów, zmian tytułów oraz poprawek stylistyczno-językowych



*Czytelnikom i Sympatykom
naszego pisma oraz
wszystkim tym, którym droga jest pamięć
o Kresach Wschodnich II RP
— gdziekolwiek się znajdują
składamy najserdeczniejsze życzenia
spokojnych, pogodnych Świąt
Wielkiej Nocy.*

*Szczególnie gorące życzenia kierujemy do naszych Rodaków
za wschodnią granicą.*

*Waszych praw do zachowania narodowej tożsamości
będziemy zawsze bronić!*

Niech nam wszystkie dzwony wielkanocne głoszą nadzieję.

Wesołego Alleluja!

Redakcja

MEMORIAŁ FEDERACJI ORGANIZACJI KRESOWYCH

Do Rządu i Parlamentu Rzeczypospolitej Polskiej

Niniejszym memoriałem zwracamy się do najwyższych organów państwowych RP o rozpatrzenie w trybie pilnym dramatycznej sytuacji, która naszym zdaniem zagraża zachowaniu tożsamości narodowej przez naszych Rodaków, a także dalszemu istnieniu polskości na historycznych ziemiach RP.

Powszechnie wiadomo, że Ziemia Wileńska i Grodzieńska, Polesie, Wołyń, Podole, Małopolska Wschodnia ze Lwowem i Zaolziański Śląsk Cieszyński zostały oderwane od Polski w wyniku podwójnej agresji z września 1939 roku. Dziś po wielu latach od rozbioru II Rzeczypospolitej, również po latach akceptacji rezultatów Paktu

Ribbentrop-Mołotow i układów jałtańskich, ocalała ludność polska na historycznych polskich ziemiach jest nadal na różne sposoby dyskryminowana i szykanowana, często pozbawiana elementarnych, uznawanych przez współczesny świat praw ludzkich.

W szczególności:

Szkolnictwo polskie jest tam nadal niemal całkowicie zniszczone (pewnym wyjątkiem jest sytuacja na Wileńszczyźnie, gdzie jednak tylko około 25 proc. dzieci polskich ma możliwość uczęszczania do polskiej szkoły), natomiast na Zaolziu, m.in. wskutek celowych działań władz, liczba dzieci w polskich szkołach z roku na rok maleje.

Język polski jest eliminowany z życia publicz-

nego, ostatnio także i w świątyniach, choć przecież przetrwały one wraz z Kościołem wyłącznie dzięki ludności polskiej.

Polskie organizacje społeczne, z trudem utrzymujące się przy życiu napotykają w swojej i tak ograniczonej działalności rozliczne przeszkody i szkany.

Nadal nie zwrócono polskim organizacjom i instytucjom ich bazy materialnej, w szczególności ich skonfiskowanych nieruchomości.

Niszczone i zawłaszczane są polskie pamiątki, cmentarze, pomniki naszej kultury narodowej, niejednokrotnie o ogólnoeuropejskim znaczeniu.

Oto niektóre tylko stwierdzenia, ilustrujące istniejący stan rzeczy. Nie odnotowaliśmy dotąd żadnych poważnych i skutecznych interwencji w tych sprawach ze strony władz polskich. Tymczasem błędne oceny, niechęć do podejmowania niełatwej problematyki kresowej w oparciu o polskie tradycyjne wartości, jawne lekceważenie opinii środowisk i społeczności polskich, wreszcie niezrozumiała, wręcz serwilistyczna uległość względem krajów ościennych — to już nasz własny „wkład” w coraz bardziej dramatyczne położenie naszych Rodaków, którym wypada żyć i zmagać się nie tylko o byt materialny, ale i o polską tożsamość — pod presją rozruchanych lokalnych szowinizmów.

W istniejącym stanie rzeczy apelujemy:

1. O udzielenie moralnego i politycznego wsparcia środowiskom polskim na historycznych ziemiach RP. Specjalnie ważna jest sprawa legalizacji przez władze litewskie działającego już od dwóch lat Polskiego Uniwersytetu w Wilnie;

2. O udzielenie wydatniejszej pomocy w odbudowie i funkcjonowaniu szkolnictwa z polskim językiem nauczania;

3. O udzielenie — dotąd nieistniejącej — pomocy w odzyskaniu mienia polskich organizacji społecznych, skonfiskowanego w latach wojny i po wojnie (np. przedwojennej Stanicy Harcerskiej w Wilnie, wydzierżawionej obecnie przez władze litewskie ambasadzie amerykańskiej (!), podczas gdy odrodzone harcerstwo polskie na Wileńszczyźnie nie ma siedziby);

4. O zobowiązanie polskich placówek konsularnych do udzielania wszechstronnej pomocy organizacjom i społecznościom polskim w krajach ościennych oraz zadbanie o lepszą obsadę personalną tych placówek, pozostawiającą nieraz wiele do życzenia;

5. O podjęcie programu przeciwdziałania rozszerzaniu się prymitywnej szowinistycznej propagandy antypolskiej;

6. O zrealizowanie zasady wzajemności w za-

kresie pomocy finansowej dla mniejszości narodowych — sytuacja, gdy Państwo Polskie płaci corocznie miliardy złotych na akcje społeczno-kulturalne mniejszości ukraińskiej, białoruskiej i litewskiej (w projekcie budżetu na 1994 przewidziany jest poważny wzrost tej pomocy), zaś rządy Ukrainy, Białorusi i Litwy nie dają ani grosza na organizacje polskie w ich krajach, jest niedopuszczalna;

7. O zawarcie z państwami ościennymi szczegółowych mniejszościowych umów ochronnych (opracowane przez FOK projekty w załączeniu), które zapobiegłyby tworzeniu państwowych i lokalnych przepisów restrykcyjnych, mających na celu dyskryminowanie i wynaradawianie ludności polskiej. Dotychczas zawierane traktaty i podpisywane deklaracje formułują kwestie praw człowieka w odniesieniu do mniejszości polskich jedynie ogólnikowo;

8. O poważne rozważenie sprawy stworzenia specjalnego urzędu ds. Polaków za granicą — małe komórki dotąd istniejące (URM, Ministerstwo Kultury i Sztuki etc.) nie mogą podołać systematycznej i pogłębionej pracy w tej dziedzinie. Porównawczo: w Grecji istnieje Generalny Sekretariat ds. Greków Zagranicznych w Ministerstwie Kultury („Cywilizacji”), oraz specjalny pion do tychże spraw w MSZ, z podsekretarzem stanu na czele;

9. Uznanie obywateli II RP i ich potomków, mieszkających poza obecnymi granicami, za obywateli polskich.

Minione pół wieku, a już szczególnie lata, jakie nas dzielą od przełomu 1989 roku, wykazały, że bierny stosunek polskich władz państwowych do prześladowania wszystkiego, co polskie na obszarach wcielonych do krajów ościennych był również sprawdzianem i miarą stosunku tych władz do żywotnych interesów całego narodu. **Przyjmując nie bez podstaw, że znaczna część naszego społeczeństwa jest silnie uwrażliwiona na powyżej przedstawione problemy** — uważamy, że polska opinia publiczna powinna być na bieżąco informowana, czy i jakie działania dla ochrony ludności polskiej na Wschodzie i na Zaolziu podejmują obecne elity polityczne i władze państwa.

Wnosimy również, aby Federacja Organizacji Kresowych w związku ze wspomnianym na początku tego memoriału mandatem organizacji polskich z krajów ościennych oraz faktem ciągle pogłębianej kompetencji w problematyce wyżej poruszonej była przyciągana przez Rząd i Parlament RP do systematycznej współpracy.

**Za Radę Naczelną Federacji
prezes**

STANISŁAW MITRASZEWSKI

Lamentacje Wielkanocne.

Między Lwowem, Jerozolimą, a Wrocławiem

Jerozolima — po hebrajsku Jeruszalaim, Święte Miasto trzech największych monoteistycznych religii świata: judaizmu, chrześcijaństwa i islamu, położone jest na płaskowyżu centralnym Palestyny, 27 km na zachód od północnego brzegu Morza Martwego.

Stare Miasto opasane jest murami, które zamykają główne miejsca święte związane z dziejami Starego i Nowego Testamentu. Zajmuje ono dwa wzgórza i przedzielone jest doliną (arabskie al-Wad), która biegnie w kierunku północ-południe od Bramy Damascenkiej aż do sadzawki Siloe. Tam Chrystus prawie 2 tysiące lat temu powiedział do ślepego „Idź i obmyj się w sadzawce Siloe” i stał się cud.

Ulice Starego Miasta są wąskie i kręte, nierzadko spadziste lub przechodzące w schody. Wąska u swojego początku jest Via Dolorosa, do której dochodzi się przez wschodnią bramę w murach miasta, zwaną Bab Sitti Mariam, a także Bramą św. Szczepana. Via Dolorosa to droga krzyżowa, którą Chrystus przebył, niosąc krzyż od Praetorium Piłata do Golgoty. W każdy piątek w Jerozolimie oo Franciszkanie razem z pielgrzymami odbywają tę drogę niosąc krzyż. Drogę tę odbył również lwowianin, ułan Jazłowiecki Bronisław Brzezicki razem z żołnierzami i tułaczami kresowymi z Polski dwukrotnie w Wielki Piątek 1944 i 1945 roku. Jak do tego doszło?

We Lwowie w Wielką Sobotę Wielkanocną, która w 1940 roku wypadła na dzień 23 marca, do mieszkania przy ul. Hauke Bossaka nr 14 przybyło NKWD po Bronisława Brzezickiego, członka Związku Walki Zbrojnej. Po 12-miesięcznym śledztwie w więzieniu przy ul. Zamarstynowskiej, gdzie w celi nr 8 siedział razem z ukraińskim nacionalistą Beresowskim, współmordercą min. Pierackiego, ale także z wybitnym polskim pisarzem Teodorem Parnickim, otrzymał wyrok 8 lat ciężkich robót. W lipcu znalazł się ze swoimi towarzyszami niedoli (a jakże, ze Lwowa i Kresów) w najdalszym krańcu sowieckiego imperium — w porcie Buchta-Nachodka za Władywostokiem nad Morzem Japońskim. Tutaj wśród więźniów po miesiącu jak piorun gruchnęła wieść, że generał Sikorski podpisał porozumienie ze Stalinem. Wydano amnestię, która pozwoliła wydostać się z granic Rosji Sowieckiej w ciągu 1942 roku Armii generała Andersa (niestety tylko z częścią rodzin cywilnych) — 114 500 obywatelom polskim w przynajmniej części swej większości pochodzącej z Kresów Wschodnich II RP. Przez bezkresne obszary nieludzkiej ziemi od Władywostoku, Nowosybirsk, Semipalatynsk (gdzie było najwięcej rodzin lwowskich) Alma-Atę, Taszkent, Samarkandę, przez perskie przełęcze i Teheran, przez pustynię Iraku trafił Brzezicki, wtedy już oficer 7 Dywizji Piechoty gen. Szyszko-Bohusza, do Ziemi Świętej. Był już wrzesień 1943 roku i brygada generała Kopańskiego, wycofana po ciężkich bojach z Afryki do Palestyny, wchłonęła

znaczoną część wojska polskiego, które przybyło z Rosji Sowieckiej i przekształciło się w 3 Dywizję Strzelców Karpackich. Lwowianin Brzezicki miał wówczas 47 lat i skierowany został z grupą kilkudziesięciu urlopowanych oficerów na kurs prawno-administracyjny w Tel-Awiiwie.

W Wielki Piątek 7 kwietnia 1944 roku przez Via Dolorosa szedł Brzezicki w grupie Polaków — wojskowych i cywilnych, którzy nieśli krzyż i podawali go sobie między Stacjami Męki Pańskiej (III i IV Stacja są to stacje „polskie” odbudowane ze składek żołnierzy z Dywizji Strzelców Karpackich). Między V a VI Stacją krzyż niósł lwowianin Brzezicki. Wkrótce po Świętach Wielkanocnych ukończył kurs prawno-administracyjny. 10 lipca odbyły się w Jerozolimie uroczystości z okazji święta 14 Pułku Ułanów Jazłowieckich, macierzystego pułku Brzezickiego. W Kaplicy Nowego Domu Polskiego odbyło się wówczas nabożeństwo przed historycznym obrazem Matki Bożej Kozielskiej. Obraz ten odbył koszmarną wędrówkę przez Karelię do Murmańska, Oceanem Lodowatym na półwysep Koli, stąd przez Morze Białe już z żołnierzami polskimi do Archangielska i Suzdału. Dobrze ukryty przybył do Tatiszczewa, gdzie tworzyła się 5 Kresowa Dywizja Piechoty. Potem wędrował wraz z wojskiem przez Iran, Irak do Ziemi Świętej.

Nowy Dom Polski położony jest na północ od Bramy Damascenkiej, przy ul. Trzeciego Muru — Hakoma Hashelishit 8 w Jerozolimie. Budowę jego ukończono w 1943 roku dzięki składkom i opodatkowaniu się oficerów i żołnierzy 3 Dywizji Strzelców Karpackich. W czasie II wojny światowej był centrum kultury narodowej i przystanią dla żołnierzy i uchodźców polskich z Rosji Sowieckiej.

Modląc się wtedy przed obrazem Matki Bożej Kozielskiej napisał Brzezicki w swoich wspomnieniach: „W tej chwili myślami i całym sercem uleciałem do ukochanego, jedyne Lwowa, a usta moje szeptały modlitwę, by Bóg pozwolił mi tam wrócić, by wraz z dumnym i bohaterskim żołnierzem polskim znów przekroczyć bramy naszych koszar na Jałowcu.” Nie doczekał, zmarł 8 stycznia 1990 roku w Londynie. Był jednym z założycieli londyńskiego Koła Lwowian, kolegą długoletniego prezesa mgra Adama Treszki, oczywiście lwowianina, absolwenta Wydziału Prawa Uniwersytetu Jana Kazimierza, wiernego towarzysza życia obecnej wiceprezes Koła Lwowian, też prawnika, też lwowianki, też studentki tegoż Uniwersytetu — mgr Jadwigi Treszkowej. Książkę Brzezickiego *Z Łagru Nachodka do Ziemi Świętej* ofiarował mi brat Autora Marian Brzezicki (notabene aresztowany we Lwowie w tydzień po Bronisławie).

W Wielkim Poście 2 tygodnie przed Świętami Wielkanocnymi, które w 1990 roku wypadły 14 i 16 kwietnia, zaprowadziła mnie pani Renia Drohoby-

czar w Tel-Awiiwie do Księgarni Polskiej przy Allenby 94, która od lat jest własnością drohobyrczanina pana E. Neustejna. Miałam ze sobą kilka numerów „Semper Fidelis”, które mu zostawiłam. Ucieszył się i wiedliśmy rozmowy kresowe i krakowskie, bo państwo Neustejnowie mieszkali po wojnie do 1968 roku w Krakowie.

Renia Drohobyrczer rodem z Kopyczyniec mieszka nadal w Givatayim, a niedaleko mieszka też prezes Związku Żydów Stryjskich pan Erwin Schützer, który napisał list pełen serdecznego żalu do wrocławskiej Strzechy Stryjskiej po śmierci Krystyny Masiakowej...

Godzi się przypomnieć, że w czasach II wojny światowej w Tel-Awiiwie (gdzie obowiązywały ustanowienia „National Home” dla Żydów z zabezpieczeniem praw cywilnych i religijnych wspólnotom nie-żydowskim, włączonego do tekstu mandatu brytyjskiego) miały swoje siedziby i pomieszczenia takie polskie instytucje i placówki, jak Polski Konsulat Generalny, Bank PKO, Ekspozytura Ministerstwa Pracy i Opieki Społecznej dla Spraw Uchodźców Polskich, Polskie Wyższe Kursy Naukowe, Polski Dom Oficerski, Szkoła Powszechna, Świetlica Uchodźców Polskich, Duszpasterstwo, Harcerstwo i „Citro House”, gdzie mieszkali polscy oficerowie. A generalnie ta cała Polonia była kresowa. Wtedy połowa mieszkańców Tel-Awiiwu to byli głównie Żydzi z Polskich Kresów Wschodnich, reszta z innych państw Europy i z całego świata. Wystarczyło posiedzieć w którejś z nadmorskich kawiarni na szerokim deptaku imienia Sir Herberta Samuela by usłyszeć, że wśród licznych języków dominował polski!

Dzisiaj w Izraelu działają stowarzyszenia grupujące Żydów lwowskich, stryjskich, tłumackich. Nikt ich nie tłamsi, nikt im nie wypomina resentymentów.

Odbyłam i ja Drogę Krzyżową na Via Dolorosa w Wielkim Poście roku 1990. Nie miałam pojęcia, że też w Wielkim Poście roku Pańskiego 1994 w piątek 25 lutego Zarząd Główny Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich otrzyma od władz miasta Wrocławia nakaz eksmisji z lokalu w Rynku, niegdyś przydzielonego prezesowi dr. Andrzejowi Kaminskiemu przez naczelnika Dzielnicy Stare Miasto. Datę rozprawy sądowej wyznaczono też na piątek 25 marca. Trudno to skwitować porzekad-

łem „Łaska pańska na pstrym koniu jeździ”. Spotkało to nas w mieście, które uchodzi za najbardziej „lwowskie” w Polsce, odbudowane rękami naszych ojców — lwowiaków, i kresowiaków a niejeden miał za sobą pobyt na nieludzkiej ziemi. Co pikantniejsze a raczej może smutniejsze dwaj główni „hetmani” władzy ustawodawczej i wykonawczej — przewodniczący Rady Miejskiej profesor Stanisław Miękiś i prezydent miasta Wrocławia Bohdan Zdrojewski mają korzenie kresowe (bodajże Stanisławów). Konkluzja jest taka — jesteśmy dyskryminowani we Wrocławiu, gdzie mieści się główna statutowa siedziba największego towarzystwa kresowego w Polsce, zarejestrowanego jeszcze w 1988 roku, liczącego 76 oddziałów i klubów w całym kraju i jeden oddział w Szwecji. W naszej działalności statutowej nie jesteśmy ani prawicowi, ani tym bardziej lewicowi, jesteśmy po prostu lwowsko-kresowi i nie chcemy dopuścić do fałszowania historii tej ziemi, zniszczenia i zmiany metryki dziedzictwa kultury polskiej na Kresach i wynarodowienia Polaków na obszarze byłego ZSRR. Denerwujemy swoim istnieniem niektóre partie polityczne, a one mają swoją prasę, która urabia nam odpowiedni „image”. Partie te nigdy nie zauważyły jak duża pomoc jest świadczona przez nasze oddziały i kluby Rodakom na Wschodzie, jak bardzo ofiarni są wśród nas ludzie organizujący tę pomoc. Wymienianie ich zajęłoby zbyt dużo miejsca w „Semper Fidelis”. Są wszędzie, gdzie istnieje nasze Towarzystwo i gdzie żyją Kresowiaci oraz ludzie dobrej woli. Tylko ich się świadomie nie zauważa. Zato pojawiają się tu i ówdzie w prasie artykuły i artykułiki, których podtekst jest dla nas zupełnie czytelny, używa się przymiotników „ziomkowski”, „nacionalistyczny”. W Ewangelii św. Łukasza jest napisane, że każde dobre drzewo wydaje dobre owoce, ale złe drzewo wydaje złe owoce. Poczekamy, jakie będą nasze owoce.

Wielkanoc jest największym świętem chrześcijaństwa. Dzwony wielkanocne zawsze będą głosić Zmartwychwstanie Chrystusa, zwycięstwo życia nad śmiercią, dobra nad złem, ducha nad materią. I tych prawd w historii ludzkości nie obalą żadne instytucje tego świata ani żadne systemy filozoficzne. A więc mimo wszystko „Wesołego Alleluja”.

— z przymrużeniem oka —

*... a może nas minie
„lany poniedziałek”
w piątek 25 marca br.
i
nas nie wyleją ? ! ? !*

(tak sądzi wieczny optymista redaktor naczelny)



Rys. Feliks Załogowicz

Światy niewielkie

Ten i ów rodak lwowski niechętnie do tego się przyznaje, innego napawa to dumą. Coś tam jest w literaturze, gdy obyczajów nad Pełtwią dotyka. Z odległości czasu różnie nam się to jawi, różnie w to bywaliśmy uwikłani, ale powspominajmy póki czas, póki Miasto pod powieką...

Lwów był naznaczony tworzeniem małych światów i zamykaniem się w nich na prywatny użytek, dla urody okolicy najbliższej, dla hermetycznego sposobu kochania, dla kresowego egoizmu wreszcie i zakorzenionego jednak pod tym niebem sobiepaństwa. Taki zaścianek, między, koniec widnokładu — końcem świata. Było to jakoweś naznaczenie dziejami i równocześnie ich zaprzeczenie. Wszak historia w tym mieście wręcz do czegoś innego powinna namawiać: do powszechnej konsolidacji słów i czynów, do demokracji miejsc i życiowych praktyk, bez względu na to kto, z której bramy, z jakiej ulicy wychodzi i do której zmierza. A tymczasem jak było, to wiemy. Kwitły dzielnicowe i nawet pomniejsze ostracyzmy, jakby im lwowskie podglebie szczególnie sprzyjało. Wielu z nas świadków, zwłaszcza co młodszych, upływu międzywojennego dwudziestolecia doświadczyło ich niekiedy na własnej skórze. Autor tych słów też. A różnie bywało, gdy potrzeba kazała dzielnicową powinność manifestować. Pierwszorzędną rolę grał honor batiarski. To oni, lwowscy batiarzy byli pierwszą linią natarcia i obrony dzielnicy. Oni w przeróżnych sprawach wyciągali swój dzielnicowy

A jednak tak nie jest. Gdy wracamy do tych naszych niewielkich i prawie niepodległych republik Łyczakowa, Kleparowa, Zamarstynowa, Janowskiego, Lewandówki i Bóg wie jeszcze gdzie — nachodzi nas wzruszenie, łechce ciepłko przeżycia. Uruchamiamy fotoplastikon tamtych chwil, dni, wydarzeń, spełnień, niespełnień. I to wszystko wysyca się barwami, gra w słońcu z tamtejszego nieba, wilgotnieje w ciepłym deszczu, skrzy się śniegiem jedyne go parku. W moim przypadku — Łyczakowskiego. No, może Wysokiego Zamku i Podwala... Nie niosło mnie przecież dalej. Nie było takiej potrzeby, takich chęci. W dzisiejszym zamyśleniu stwierdzam, jak bardzo moje ulice: Leśna, Kurkowa, Łyczakowska, plac Antoniego, Piaskowa, Sahajdecznego, Wójtowska i kawałek Kajzerwaldu do wszystkiego wystarczały. Jak bardzo nie trzeba było tych przestrzeni ulicznych przekraczać, by żyć. W nich mieściły się szkoła, drużyna harcerek, niedzielna ministrantura u Karmelitów, Franciszkanie na majówce, zimą szusy po debrach Kajzerwaldu, a latem wypatrywania tamże dziewczynsko-ulańskich par gwoili erotycznej edukacji.

Te miejsca, wcale wówczas jakimś szczególnym uczuciem nie obdarzane — po prostu najbliższe, więc niezbywalne — były dzień po dniu miejscami spotkań, rozstań, stawania się ustawicznego czegoś tam, tętna życia bardzo realnego, ale i najwyższego „C” marzeń. Tam były zamknięte rewiry pomysłów, przewidywań i perspektyw, do których byliśmy jakby przyklejeni, jakby nimi ubezwłasnowolnieni. To nie było oczarowanie, to była normalność. Etos batiarski nic z tym nie ma wspólnego. Batiarskie uczynki były tylko kulminacją klimatu umownie zamkniętej i opisywanej tu przestrzeni. Przecież nie wszystko mogło odbywać się w niej bezkolizyjnie. Przecież tam żyli ludzie. Były ich sprawy i temperamenty.



Przygoda którą podpatrzył Feluś Załogowicz

paszport, a ten jakoby miał decydować o reszcie. Hebra hebrze nie była równa i z zaangażowaniem serdecznym to manifestowała. Ta i tylko ta gromada chłopaków, wyrostków i innych takich nie nazwanych wylaniała się z sąsiadujących bram byle jak oświetlonych, to oni mieli swoje miejsca postoju, które tylko dla nich były tym, czym były. Byli latoroślą tych miejsc, ich klimatem. Kreślili granice przestrzeni, w której chcieli lub musieli żyć. Dziś wydaje się, że innej przestrzeni wprost nie potrzebowali i pragnień innych, niż tych z niej zrodzonych, nie mieli. Zdawać by się mogło: taki ograniczony świat, który nie powinien doczekać się panegiriku, pochwał różnej maści, ciepłego wspomnienia.

Mimo wszystko legenda Lwowa może nazbyt wiele przypisuje w kreowaniu dzielnicowych enklaw zadziorności jego mieszkańców, historycznie zakorzenionej w wielonarodowościowej ich proveniencji, w tak koniecznej przez stulecia obronie kogoś przed kimś. Twierdzę, że te dziejowe zaszłości to tylko niektóre rubryki metryki ducha mieszkańców nadpełtwańskiego grodu. Lwowskie podglebie, klimat, koloryt nieba były starsze niż historia. Co chcę przez to powiedzieć? Ano to, że i te niewymierne, nieuchwytnie czynniki sprawiały, iż bez powodu dziejowego, za przyczyną chwili moja ulica, moja szkoła, moja panna, mój wyobrażony wizerunek czegoś lub kogoś, choć nie najprawdziwszy, był niezbywalny, jedyny,

niezastąpiony. Bez względu na intencje. Te szły, gdy taka była potrzeba, do lamusa chwili. Opasywaliśmy się lwowską przestrzenią, ale tą najbliższą i nie zawsze tylko batiarskie pięści i inne waleczne uczynki decydowały. To był margines zjawiska. Było jeszcze coś, co nazwać można łagodnością przestrzeni i miejsca. Tego miejsca. Zamykanie się w jego kokonie było miłe, podniecające, wręcz tam, we Lwowie — potrzebne. Nietykalność dziewcząt z Górnego Łyczakowa, nawet przez kawalerów z Antoniego, Słodowej, Hausnera, dodawała im urody i pożądlivosti. To może i trudno pojąć. Trzeba to przeżyć, a ja przeżyłem. I to nawet boleśnie. Za jedną taką nazaretankę, którą odprowadzałem do gimnazjum, bo nam po drodze przez Kurkową było, dostałem po głowie na Kajzerwaldzie od jakowegoś osiłka, niebawomego. Cóż, panna nie była z Leśnej. Nie podjąłem tej rękawicy, bo domniemany właściciel panny był osiłkiem, a ja uznałem całą sytuację za prawo natury. A to prawo było do czegoś potrzebne. Do czegoś, czego do dziś nazwać nie umiem. To było nawet na swój sposób inspirujące. Małeńka przestrzeń, niewielkie posiadanie, granice nieprzekraczalne — najbliższa ojczyzna. Takie miejsce, w którym żyje się z dnia na dzień — codziennie. Raczkowanie patriotyzmu.

Gdy nadszedł ów czas, wrzesień 1939 roku, myśmy byli niejako wyćwiczeni. I szybko potrafiliśmy zaadoptować się do poszerzenia miejsca obrony. Wobec niedoli w bolszewicko-niemieckich ciemnościach i w niewoleniu wyrobiony instynkt podpowiadał, ba, narzucał konsolidację. Konieczności przetrwania i walki służyły teraz doświadczenia i uczucia z naszych małych ojczyzn. Może dzięki nim potrafiliśmy więcej. Byliśmy sprytniejsi i silniejsi. Co bywało zabawą, grą, sporem zaledwie, fanfaronadą, stawało się metodą i taktyką. Czas począł odmierzać niespełnienia, pędził do celów nie przez nas nakreślonych. I wtedy uwidaczniała się jedność Lwowa. Taka jak onegdaj wobec bejów, chanów, atamanów i szwedzkich potopów...

Zachowajmy we wdzięcznej pamięci ten nasz prześliczny lwowski, dzielnicowy rozgardiasz, te małeńkie, własne, niegdyś bardzo potrzebne miejsca na ziemi. Przecież jeszcze do dziś coś nam z tych dzielnic pozostało. Wielu już nie staje, reszcie włos posiwiął, a przecież jeszcze wciąż niektórzy w nie tym samym śpiewają chórze. Czyżby nadal ci od Antuniego byli lepsi niż katedralni? Oj, batiarygi, batiarygi, wy wciąż z Lewandówki i broń Boże z innej dzielnicy!?

Nowy Sącz 18 I 1994 r.

HENRYK ZBIERZCHOWSKI

CUD ZMARTWYCHWSTANIA



Kiedy w radosne święto Zmartwychwstania
Zadzwonią dzwony głosami srebrnymi,
Wtedy uderza znowu serce ziemi
Jakby zbudzonej z zimowego spania.

I wiosna z zimy uwolniona oków
Daje o sobie znać wieczystym ruchem,
Płynącą wodą i wiatrów podmuchem,
Lotem obłoków i krążeniem soków.

Choć wie, że życia ma nie wiele godzin
Pierwiosnek główkę swą wychyla z śniegu,
Pęcznieją drzewa na gałązek brzegu,
Czekając listka pierwszego narodzin.

Pszczoła, czas mrozu przetrzymawszy z trudem
Swą główkę z ulów wychyla z ukrycia
I wszystko rwie się do nowego życia,
Jakby porwana Zmartwychwstania cudem.

Więc także człowiek, przez swą doskonałość
Ponad stworzenia wszystkie wywyższony,
Skoro uderzą wielkanocne dzwony
Niech zrzuci z ramion życia swego małość.

Niechaj się wzniesie ponad swoje losy,
Ponad codziennych spraw małość i ciasność,
Skoro uderzą wielkanocne dzwony
Niech wchłonie w duszę tę wiosenną jasność,

Niech wszystko liche w swem sercu przemaże
I w słońcu łaski kornie niech uklęknie
I niechaj duchem odrodzi się pięknie
Jako nam święto Zmartwychwstania każe.

Lwów, marzec 1932

(ze zbiorów p. Romany Gruber-Zychowej)
(pisownia oryginalna)

HISTORIA

W dniu 4 kwietnia br. mija 200 lat od zwycięskiej bitwy stoczonej pod Raławicami przez polskie wojska i polskich chłopów pod dowództwem Naczelnika Tadeusza Kościuszki.

Raławickie Towarzystwo Kulturalne nadesłało nam program uroczystych obchodów Insurekcji Kościuszkowskiej, które odbędą się w Raławicach pod honorowym patronatem Premiera RP i jednocześnie Prezesa Polskiego Stronnictwa Ludowego Waldemara Pawlaka oraz Prymasa Polski ks. Józefa Kardynała Glempa.



PROGRAM

6 kwietnia — godz. 11.00
(dworek na polu bitewnym)

- otwarcie ogólnokrajowej wystawy kościuszkowskiej zorganizowanej przez Muzeum Historii Polskiego Ruchu Ludowego,
- sesja popularnonaukowa „Chłopi w Powstaniu Kościuszkowskim”,
- promocja okolicznościowych wydawnictw.

8 kwietnia — godz. 9.00
(Dom Ludowy w Raławicach)

- finał ogólnokrajowego konkursu twórczości o tematyce kościuszkowskiej.

10 kwietnia — godz. 11.00 uroczystości
w 200 rocznicę bitwy pod Raławicami:

- uroczysta msza święta (kościół w Raławicach),
- wmurowanie kamienia węgielnego przez wicepremiera, ministra Edukacji Narodowej Aleksandra Łuczaka pod budowę budynku szkoły podstawowej w Raławicach jako pomnika Tadeusza Kościuszki.

22 maja — godz. 11.00 (pola bitewne)

- ogólnokrajowa manifestacja chłopska podczas centralnych uroczystości Święta Ludowego w Raławicach, odsłonięcie przez premiera Rzeczypospolitej Polskiej i prezesa PSL Waldemara Pawlaka pomnika Wojciecha Bartosza Głowackiego — chłopskiego bohatera Insurekcji.

Wraz z dwustuleciem bitwy przypada stulecie powstania Panoramy Raławickiej i pokazania jej na Powszechnej Wystawie Krajowej we Lwowie.

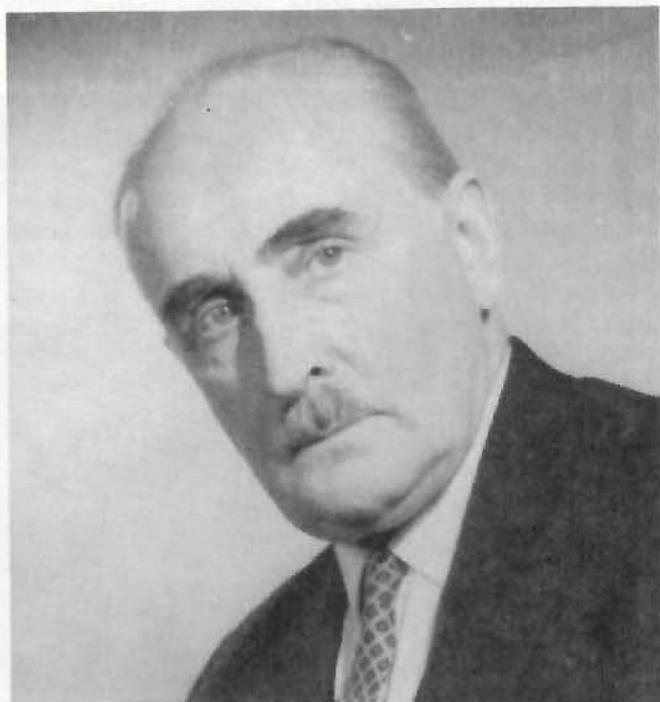
Odnowiona i nowocześnie eksponowana we Wrocławiu Panorama nic nie straciła ze swej atrakcyjności i jest nadal silnym magnesem przyciągającym pokolenia Polaków.

Rola profesora Mieczysława Gębarowicza w ratowaniu polskich dóbr kulturalnych we Lwowie

Naukowe osiągnięcia prof. Mieczysława Gębarowicza i jego ogromne zasługi położone w dziele dokumentowania i naukowego opracowania polskich zabytków sztuki i kultury we Lwowie i na dawnych południowo-wschodnich ziemiach Rzeczypospolitej są dość dobrze znane. Najkompetentniej mogliby wypowiadać się tutaj historycy sztuki. Natomiast ja chciałbym przedstawić prawie w ogóle dotąd nie znany, ale jednocześnie bardzo ważny fragment biografii Profesora. Dotyczy on okresu II wojny światowej i pierwszych lat powojennych, kiedy to prof. Gębarowicz, rezygnując ze swoich ambicji naukowych i dalszej kariery zawodowej, całkowicie poświęcił się ratowaniu dla Polski zgromadzonych we Lwowie polskich zbiorów kulturalnych.

Działalność ta nierozzerwalnie złączona była z Zakładem Narodowym im. Ossolińskich, na którego czele stanął z nominacji kuratora najpierw w lipcu 1941 r. jako kierownik, a od kwietnia 1943 r. jako dyrektor. Stanowisko to, pełnione w konspiracji, w tajemnicy przed okupantami — przypomnijmy, że Zakład został w 1940 r. zlikwidowany przez władze sowieckie — łączył w latach 1941-1946 z oficjalnym stanowiskiem kierownika Biblioteki Ossolineum, włączonej w latach okupacyjnych najpierw do struktur niemieckiej Staatsbibliothek Lemberg, a od sierpnia 1944 r. jako tzw. Sektor Polski do Lwowskiej Biblioteki Akademii Nauk USRR. Spośród lwowskich placówek naukowo-kulturalnych Zakład Narodowy im. Ossolińskich (do 1939 r. łączący w sobie Bibliotekę, Wydawnictwo i Muzeum im. Lubomirskich) był jednym z najważniejszych i najbardziej zasłużonych ośrodków kultury polskiej, o czym decydowały przede wszystkim niezwykle bogate zbiory biblioteczne, pod względem wartości drugie w kraju po Bibliotece Jagiellońskiej.

W latach okupacji niemieckiej kierowane przez prof. Gębarowicza Ossolineum stało się miejscem schronienia dla różnego rodzaju zbiorów polskich, narażonych na zniszczenie lub rozproszenie w warunkach wojennych. Taką akcję ratowania dóbr kultury prof. Gębarowicz podjął już w 1941 r., przyjmując w formie depozytów księgozbiory wielu polskich uczonych, zagrożonych aresztowaniem lub zmuszonych do wyjazdu ze Lwowa. W Ossolineum znalazły wówczas schronienie m.in. księgozbiory profesorów Uniwersytetu Lwowskiego: filologa Jerzego Manteuffla, fizyka Stanisława Lorii, historyka ks. Józefa Umińskiego, filozofa Kazimierza Twardowskiego, a także znanego chirurga Adama Grucy. Największym osiągnięciem było jednak uratowanie w lutym 1943 r. bibliotek seminaryjnych kilku zakładów uniwersyteckich (filologii polskiej, romańskiej i klasycznej oraz historii, prawa i filozofii), które M. Gębarowicz zgodził się przyjąć do Ossolineum natychmiast



Prof. Mieczysław Gębarowicz

po wydaniu przez władze niemieckie zarządzeniu ewakuacji gmachu uniwersytetu i zajęciu go przez niemieckie wojska lotnicze. Pomimo niesprzyjających warunków atmosferycznych i braku środków transportowych w ciągu kilkunastu dni pracownicy Ossolineum przenieśli do gmachu Biblioteki ok. 100 tysięcy książek.

Innym, choć jednocześnie jak się później okazało połowicznym sukcesem M. Gębarowicza było uratowanie od zniszczenia nie rozproszonych przed 1939 r. nakładów Wydawnictwa Ossolineum (były to m.in. podręczniki szkolne, prace naukowe i dzieła z literatury pięknej), których ilość szacowano orientacyjnie na 2-3 wagony towarowe. W 1942 r. do książek tych, znajdujących się wówczas w dawnych magazynach ossolińskich przy ul. Kaleczej, pretensje wysunęło ukraińskie przedsiębiorstwo handlowe Knyhotorh, planując przekazanie ich w zależności od decyzji niemieckiej cenzury na sprzedaż lub na przeżmiał. M. Gębarowicz, interweniując jednak skutecznie u swoich władz zwierzchnich, nie dopuścił do wydania tych książek Ukraińcom i spowodował przeniesienie ich do gmachu Ossolineum.

Troska o los polskich dóbr kulturalnych we Lwowie zmuszała prof. Gębarowicza do szukania różnych sposobów ich ochrony. W związku ze zbliżaniem się linii frontu do ziem polskich i coraz wyraźniej rysującą się perspektywą objęcia Lwowa działaniami wojennymi, a co za tym idzie ponowną okupacją sowiecką, M. Gębarowicz w ścisłym porozumieniu z dyrektorem Biblioteki Jagiellońskiej dr. Edwardem Kuntze

wystąpił w jesieni 1943 r. z inicjatywą ewakuacji najcenniejszej części zbiorów ossolińskich z zagrożonego Lwowa do Krakowa. Podjęcie ostatecznej decyzji w tej sprawie na pewno nie było dla niego łatwe, ale rozwój wypadków wojennych przesądził sprawę. W początkach 1944 r. władze niemieckie zarządziły przeprowadzenie ewakuacji lwowskich zbiorów bibliotecznych — oprócz Ossolineum także bibliotek uniwersyteckiej i politechnicznej oraz Towarzystwa im. Szewczenki — co prof. Gębarowicz wykorzystał do realizacji swoich planów. Przygotowane przez niego z udziałem nielicznych pracowników Biblioteki dwa transporty ewakuacyjne zawierały — wbrew wyraźnym instrukcjom niemieckim, nakazującym przede wszystkim ewakuację niemieckiej literatury fachowej i księgozbiorów podręcznych czytelników głównych — najcenniejsze i starannie wyselekcjonowane zbiory specjalne i cymelia Ossolineum. Było to ok. 2300 rękopisów, ok. 2200 dokumentów (dyplomów), ok. 1700 starych druków, ok. 2400 rycin i rysunków z dawnych zbiorów Muzeum im. Lubomirskich i kolekcji Pawlikowskich oraz kilkaset sztuk numizmatów. Ponadto znalazło się tam ok. 170 najcenniejszych rękopisów innej fundacyjnej biblioteki polskiej — Biblioteki Baworowskich, oraz najcenniejsze rękopisy i inkunabuły Biblioteki Uniwersyteckiej we Lwowie.

W celu zilustrowania wartości ewakuowanych wówczas ze Lwowa zbiorów ossolińskich można podać, że znajdowały się tam prawie wszystkie najstarsze ossolińskie kodeksy średniowieczne od XII w. poczynając, materiały do historii Polski XVI-XVIII w., w tym miscellanea historyczne, diariusze sejmów, relacje poselstw zagranicznych, zbiory oryginalnych dokumentów oraz listów królów polskich i obcych, zbiory praw i przywilejów koronnych i litewskich, akta sądowe, majątkowe i cechowe miast (m.in. Biecz, Grodziska, Kościerzyna, Stanisławowa, Lwowa), archiwa polskich rodzin magnackich Mniszców, Rzeczyckich, Wodzickich i Fredrów oraz utwory i papiery najwybitniejszych polskich pisarzy i poetów epoki staropolskiej: Łukasza Opalińskiego, Wacława Potockiego (w tym autograf *Wojny chocimskiej*), Jana Andrzeja Morsztyna i Ignacego Krasickiego. Wśród ewakuowanych materiałów literackich XIX i XX w. znalazł się autograf *Pana Tadeusza* Adama Mickiewicza, całe spuścizny rękopiśmienne Juliusza Słowackiego (z autografami *Mazepy*, *Lilli Wenedy*, *Króla Ducha*) i Aleksandra Fredry (z autografami *Pana Jowialskiego*, *Ślubów Panieńskich*, *Zemsty* i *Dożywocia*), a w dalszej kolejności autografy prac Seweryna Goszczyńskiego, Teofila Lenartowicza, Józefa Conrada Korzeniowskiego, Henryka Sienkiewicza (w tym autograf *Potopu*), Józefa Ignacego Kraszewskiego, Jana Kasprówicza, Władysława Reymonta (w tym autograf *Chłopów*), Stefana Żeromskiego. Ponadto ewakuowano spuścizny rękopiśmienne lwowskich uczonych: Wojciecha Kętrzyńskiego, Ludwika Bernackiego, Oswalda Balzera, Karola Szajnochy oraz archiwum galicyjskich działaczy ruchu ludowego Bolesława i Marii Wysłouchów. Jeśli idzie o dokumenty, do ewakuacji wytypowano przede wszystkim egzemplarze najstarsze i najcenniejsze, poczynając od dokumentów papieża Grzegorza IX

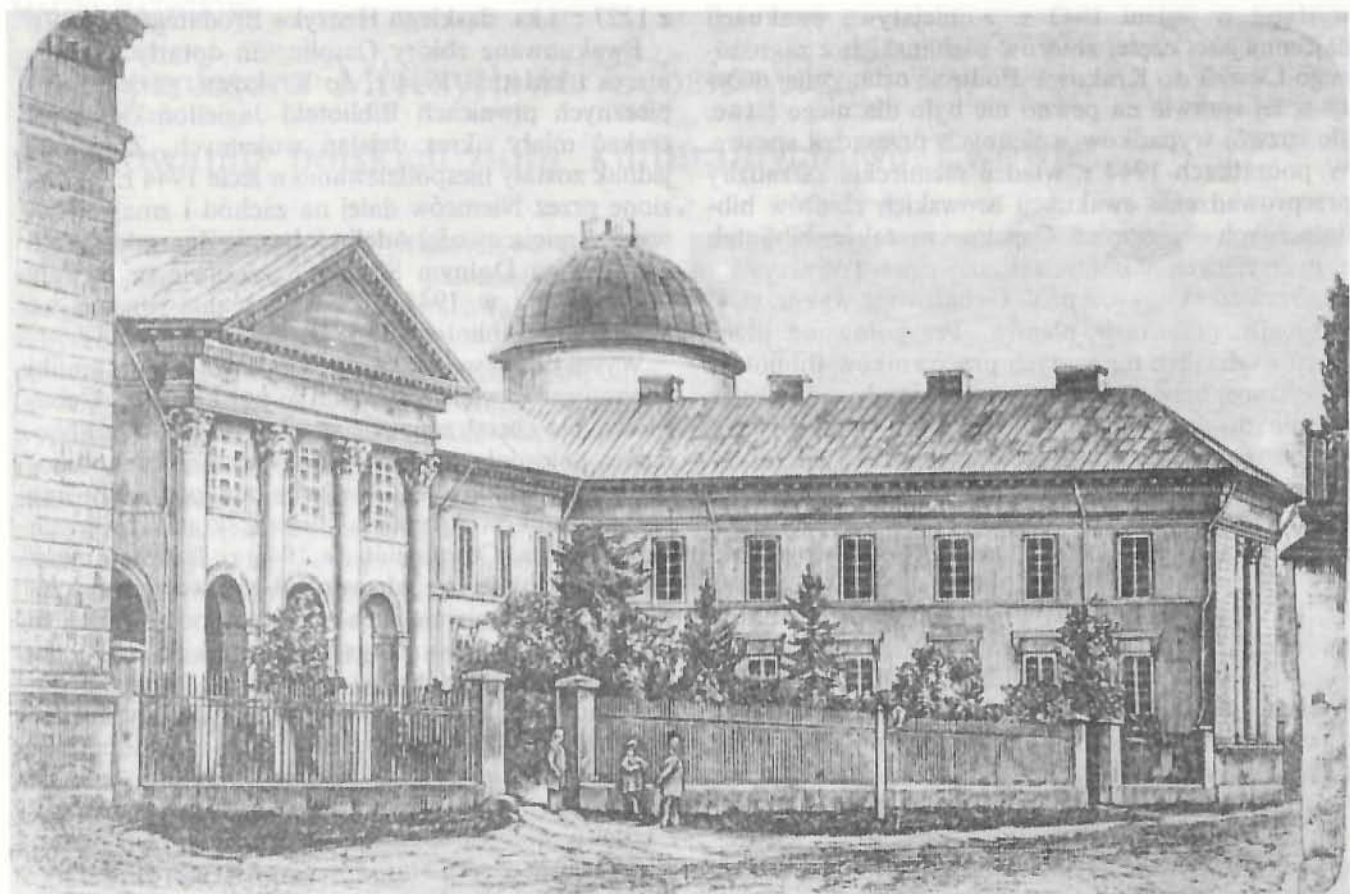
z 1227 r. i ks. śląskiego Henryka Brodatego z 1229 r.

Ewakuowane zbiory Ossolineum dotarły w ciągu marca i kwietnia 1944 r. do Krakowa, gdzie w bezpiecznych piwnicach Biblioteki Jagiellońskiej czekać miały okres działań wojennych. Zbiory te jednak zostały niespodziewanie w lecie 1944 r. wywiezione przez Niemców dalej na zachód i zmagazynowane w miejscowości Adelin (obecnie Zagrodno) koło Złotoryi na Dolnym Śląsku. Szczęśliwie przetrwały tam wojnę i w 1947 r. zasilili reaktywowaną we Wrocławiu Bibliotekę Ossolineum.

Wywieziony wówczas do Krakowa zbiór grafiki obejmował w większości grafikę polską. Prof. Gębarowicz nie chciał zapewne przekazywać w ręce Niemców najcenniejszych zabytków sztuki zachodnioeuropejskiej, obawiając się, aby nie podzieliły one losów rysunków Albrechta Dürera, skonfiskowanych przez nich w Ossolineum w 1941 r. Jest natomiast prawdopodobne, że zdecydował się wówczas poza wiedzą władz niemieckich na wyekspediowanie ze Lwowa do Krakowa drogą prywatną kilkudziesięciu rysunków obcych mistrzów ze zbiorów Muzeum im. Lubomirskich, w tym zwłaszcza kolekcji rysunków Rembrandta. W końcu marca 1944 r. prawdopodobnie powierzył je wyjeżdżającemu do Krakowa konserwatorowi lwowskiemu Janowi Marksenowi, który z kolei w połowie kwietnia tego roku złożył je jako depozyt w Muzeum Narodowym w Krakowie u dyrektora Feliksa Kopery. W tym samym czasie prof. Gębarowicz wspólnie z muzealnikami lwowskimi wziął udział w wyekspediowaniu ze Lwowa trzech dużych obrazów Jana Matejki, tj. będącej przed wojną własnością Muzeum im. Lubomirskich „Unii Lubelskiej” oraz prawdopodobnie „Rejtana” i „Bato-rego pod Pskowem”. Dwa te ostatnie obrazy znalazły się we Lwowie w 1943 r. po przewiezieniu ich z Łucka, i jak świadczy zachowana w papierach M. Gębarowicza fragmentaryczna dokumentacja fotograficzna, podjęto wówczas nad nimi wstępne prace zabezpieczające, a w Ossolineum spisano ich dzieje wojenne.

Warto przy tej okazji zaznaczyć, że podobne starania ewakuacyjne podjęły również archiwa lwowskie. Wówczas to — w lutym 1944 r. — ewakuowano z Archiwum Państwowego do Tyńca pod Krakowem najcenniejsze archiwalia, w tym komplet ksiąg grodzkich i ziemskich przemyskich. Natychmiast po zajęciu Krakowa w styczniu 1945 r. księgi te zostały zabrane przez Rosjan i przewiezione z powrotem do Lwowa, gdzie dotąd się znajdują.

Wobec coraz bardziej rysującej się od momentu zajęcia Lwowa przez Rosjan w lecie 1944 r. perspektywy, że Lwów znajdzie się po wojnie poza granicami państwa polskiego, uwagę M. Gębarowicza zaczął wówczas zaprzętać problem dalszych losów Zakładu Narodowego im. Ossolińskich. Są przesłanki pozwalające stwierdzić, że pierwsze starania o uratowanie tych zbiorów dla Polski podjął już pod koniec 1944 r. W każdym razie bezporny jest fakt, że co najmniej od początków 1945 r. opowiadał się za przeniesieniem Zakładu ze Lwowa, jako przyszłe miejsce jego lokalizacji proponując Kraków. Stał się wówczas jednym z najgorliwszych i najbardziej aktywnych rzeczników



Lwów — Ossolineum

rewindykacji całych bez wyjątku zbiorów ossolińskich przez Polskę, a jednocześnie gorącym przeciwnikiem reprezentowanych przez stronę ukraińską planów podziału zbiorów i przekazania Polsce jedynie ich małej części jako „daru” od narodu ukraińskiego. Prof. Gębarowicz uważał Ossolineum za polską instytucję narodową, „jako dzieło całego narodu przez kilka pokoleń tworzone i utrzymywane” i za niedopuszczalne uznawał pozostawienie go w całości lub w części poza granicami Polski. Prowadzona przez niego w latach 1945-1946 działalność zmierzająca do uratowania dla polskiej kultury i nauki zbiorów ossolińskich była rzeczywiście imponująca, zważywszy na warunki, w których przyszło mu działać, i ograniczone, coraz bardziej kurczące się możliwości.

Przed wszystkim ze względu na rozstrzygające się wówczas losy Ossolineum nie zdecydował się na opuszczenie Lwowa. Pozostając na miejscu miał możliwość bezpośredniego czuwania nad sprawami instytucji, obserwowania poczynąń władz ukraińskich, a także podejmowania konkretnych prób ratowania zbiorów.

Jednym z ważniejszych kierunków jego działalności było nieustanne informowanie odpowiednich władz i środowisk w kraju o stanie spraw ossolińskich, a także ciągłe przypominanie o konieczności pełnej rewindykacji zbiorów. Służyć temu miały przede wszystkim zarówno pisane przez niego liczne memoriały i relacje, jak i osobiste spotkanie z przebywającym we wrześniu 1945 r. we Lwowie z oficjalną wizytą wiceprzewodniczącym Krajowej Rady Naro-

dowej prof. Stanisławem Grabskim. Uczestniczył również w pracach polskiego środowiska naukowo-kulturalnego we Lwowie i w sierpniu 1945 r. został wybrany na przewodniczącego działającej pod egidą Związku Patriotów Polskich we Lwowie Komisji Ekspertów dla Przejęcia Polskiego Dobra Kulturalnego, która miała się zająć zebraniem danych dotyczących polskich dóbr kulturalnych w tym mieście.

W przygotowanym wówczas — w sierpniu 1945 r. — przez M. Gębarowicza memoriale wśród podlegających zwrotowi Polsce dóbr kulturalnych wymieniano przede wszystkim całość zbiorów dwóch polskich bibliotek fundacyjnych, tj. Ossolineum i Baworowskich, polonica ze zbiorów bibliotek uniwersyteckiej i pedagogicznej, lwowskie zbiory miejskie, akta archiwalne dotyczące terenów należących do Polski, archiwa i zbiory prywatne oraz zabytki kościelne. Memoriał ten, będący najpełniejszą i najkompetentniejszą charakterystyką polskich dóbr kulturalnych we Lwowie, został wręczony wiceprzewodniczącemu KRN prof. Grabskiemu oraz dostarczony do instytucji polskich zajmujących się sprawami rewindykacyjnymi (Wydział Rewindykacji i Odszkodowań Ministerstwa Kultury i Sztuki, Polska Akademia Umiejętności).

M. Gębarowicz był na pewno jeśli nie autorem, to przynajmniej współautorem kolejnego memoriału skierowanego do polskich władz państwowych w pierwszej połowie 1946 r. W memoriale tym domagano się niezwłocznego podjęcia oficjalnych rozmów

z ZSRR na temat rewindykacji dóbr kultury, a rozwiązanie całej sprawy widziano jedynie w zawarciu stosownego porozumienia, „gwarantującego Rzeczypospolitej całkowity zwrot prawnie się jej należących mienia kulturalnego z obszarów wschodnich, które przez tyle wieków pozostawały w nierozdzielnej łączności z Macierzą”. Jak argumentowano, „nie wolno tych skarbów kulturalnych uważać za zdobycz wojenną Związku Radzieckiego. Jesteśmy bowiem państwem sprzymierzonym, a nie pokonanym wrogiem, którego można ogołacać z jego dóbr kulturalnych, nagromadzonych żmudnym wysiłkiem wielu pokoleń”.

Niestety, wbrew nadziejom prof. Gębarowicza, polskie władze państwowe nie podjęły żadnych aktywniejszych starań w sprawie rewindykowania polskich dóbr kulturalnych, nie doszło również do oficjalnych rozmów z ZSRR czy Ukrainą na ten temat. W sprawę tę najsilniej zaangażowały się środowiska naukowe skupione w Polskiej Akademii Umiejętności w Krakowie, występujące z własnymi memoriałami do rządu i prezydenta Bieruta. Warto przypomnieć nazwiska tych naukowców, którzy w kraju wspierali działania prof. Gębarowicza. Byli to dawni profesorowie Uniwersytetu Jana Kazimierza: Franciszek Bujak, Stanisław Łempicki, Stefan Inglot oraz najbliższy przyjaciel M. Gębarowicza, dr Tadeusz Mańkowski.

M. Gębarowicz nie ograniczał się tylko do działań propagandowo-informacyjnych, lecz zgodnie z przyjętą przez siebie zasadą, że „jeśli istnieje możliwość wyrwania stąd [tj. ze Lwowa] czegokolwiek, należy z niej skorzystać”, podjął razem z innymi zaufanymi pracownikami lwowskiego Ossolineum akcję ratowania dla Polski zbiorów ossolińskich. Jest to najmniej znana, podejmowana z osobistym ryzykiem strona jego działalności. Z zachowanej w jego papierach fragmentarycznej dokumentacji, a także prywatnej korespondencji i akt archiwalnych Ossolineum można stwierdzić, że w latach 1945-1946 zdołał on potajemnie przekazać do bibliotek i muzeów krakowskich poza wiedzą władz sowieckich, za pośrednictwem osób prywatnych i instytucji opuszczających Lwów, pewną ilość głównie nie zinwentaryzowanych zbiorów Ossolineum. Najważniejszą i udokumentowaną rolę odegrali tutaj oo. Dominikanie lwowscy, którzy przesiadając się ze Lwowa w organizowanych przez siebie transportach przewieźli do Krakowa dużą partię nie zinwentaryzowanych rękopisów i starych druków Ossolineum. Była to zapewne jakaś część zbiorów, która ukryta przez Ossolineum na wiosnę 1944 r. w podziemiach klasztoru Dominikanów w obawie przed bombardowaniami nie została później stamtąd zabrana i bez większych przeszkód mogła zostać wyekspediowana ze Lwowa. Z cenniejszych wywiezionych wówczas do Krakowa rękopisów warto wymienić autografy prac Józefa Maksymiliana Ossolińskiego, spuściznę rękopiśmienną prezydenta Lwowa Tadeusza Rutowskiego, archiwa rodzinne Prusiewiczów, Massalskich i Pruszyńskich, zbiór autografów wybitnych Polaków, rękopisy ormiańskie i korespondencję arcybiskupa Józefa Teodorowicza, rękopisy ze zbioru księgarza i historyka krakowskiego Ambrożego Grabowskiego, kartoteki

i wykazy legionistów polskich z lat I wojny światowej oraz depozyty złożone w Ossolineum w latach wojny (archiwa biskupa lwowskiego Bilczewskiego i księży zmartwychwstańców oraz archiwum lwowskiej Armii Krajowej). Na stare druki składały się głównie zbiory Biblioteki Poturzyckiej Dzieduszyckich oraz mniejszych kolekcji.

Wiele szczegółów tych osłoniętych zrozumiała tajemnicą działań nie zostanie zapewne nigdy już wyjaśnione. Przy tak szeroko zakrojonej akcji nieuniknione były też straty. Nie wszystkie przesyłki dochodziły na miejsce swego przeznaczenia, wiele zbiorów zaginęło, a pozostający we Lwowie M. Gębarowicz nie miał żadnych możliwości kontrolowania dalszych losów przekazywanych w pełnej dyskrekcji zbiorów. W sumie jednak w latach 1945-1946 dzięki inicjatywie i wysiłkom M. Gębarowicza oraz innych pracowników lwowskiego Ossolineum przekazano do Krakowa znaczną ilość zbiorów lwowskich, które w latach 1948-1957 były sukcesywnie przejmowane przez wrocławskie Ossolineum.

Nie udało się natomaist M. Gębarowiczowi doprowadzić do wywieżenia ze Lwowa nie rozprawdzonych przed 1939 r. wydawnictw Ossolineum. Próby wpłynięcia na stanowisko władz Akademii Nauk ZSRR, zainteresowania tą sprawą Związku Patriotów Polskich, jak i naklonienia polskiego Ministerstwa Oświaty do podjęcia interwencji nie przyniosły rezultatu, wskutek czego książki te, których wartość dla polskiej kultury i nauki po zniszczeniach wojennych wielokrotnie wzrosła, nie trafiły do polskiego czytelnika i całkowicie bezużyteczne pozostały zmagazynowane we Lwowie.

Przedstawiona działalność M. Gębarowicza była tym ważniejsza, że możliwości jego wpływu na ukraińską politykę wydzielenia części zbiorów Ossolineum jako tzw. „daru” dla Polski były od samego początku dość ograniczone. Ostateczna decyzja w sprawie wyboru druków i rękopisów do przekazania Polsce pozostać miała w rękach ukraińskiej komisji, w której zabrakło dyrektora Ossolineum. W ten sposób, gdy we wrześniu 1945 r. pełną parą ruszyły prace około przygotowania „daru” dla Polski, M. Gębarowicz – jako „element niepewny i nieporządkany” – został całkowicie odsunięty od jakiegokolwiek wpływu na podejmowanie zasadniczych decyzji, przy czym nadzorująca przygotowanie „daru” ukraińska komisja nie szczędziła mu licznych szykan i przykrości.

Uwagi powyższe staną się może bardziej zrozumiałe, gdy przybliżymy realia dokonanego w latach 1946-1947 przez Ukraińców podziału zbiorów lwowskich. Przyjętą przez nich generalną zasadą było, że wszystkie materiały pochodzące lub odnoszące się do ziem leżących na wschód od linii Curzona, a zwłaszcza materiały związane (w pojęciu komisji ukraińskiej) z historią i kulturą zachodniej Ukrainy, a także w jakikolwiek sposób wiążące się z Rosją, Białorusią, Podolem, Wołyniem, Litwą, Turcją itd. miały pozostać we Lwowie. Zasady tej przestrzegano nawet w stosunku do materiałów, w których była choćby jedna wzmianka dotycząca zachodniej Ukrainy. Znany był przypadek, że wielki fascykuł zawierający

materiały wielkopolskie i śląskie nie mógł być zwrócony Polsce, gdyż znalazła się w nim tylko jedna karta poświęcona Żółkwi. Odnosiło się to także do wszelkich materiałów obcych, nie wiążących się w opinii komisji ukraińskiej z Polską.

Jak wyglądał podział w praktyce? Z Biblioteki Ossolineum Ukraińcy planowali pierwotnie przekazać zaledwie 30 tysięcy tomów książek. Liczba ta była kilkakrotnie podwyższana, aby wreszcie ostatecznie dojść w maju 1946 r. do 150 tysięcy starych druków, druków XIX i XX w. i rękopisów, co stanowiło zaledwie ok. 15-20% całości zbiorów, przy czym nie uwzględniono w ogóle zbiorów graficznych, kartograficznych oraz praktycznie całego zbioru czasopism polskich z XIX-XX w. Personel polski wykonywał prace tylko techniczne, natomiast decyzja, kierownictwo i kontrola została powierzona Ukraińcom. Lokale, w których odbywało się pakowanie, były zamykane i personel polski nie miał do nich dostępu, a cała praca odbywała się w ogromnym pośpiechu. Podczas dzielenia zbiorów stosowano dość oryginalne kryteria. Zakwestionowano m.in. akt abdykacji króla Stanisława Augusta ponieważ nastąpił w Grodnie, druki leszczeńskie Jana Amosa Komeńskiego jako bohemiczne, wszelkie druki dotyczące dysydentów, materiały dotyczące konfederacji barskiej, korespondencję dyplomatyczną dotyczącą rozbiórów Polski.

Podobnie przedstawiała się sytuacja w muzeach lwowskich. W Muzeum Historycznym polski personel został całkowicie odsunięty, a większość pierwotnie wytypowanych do przekazania Polsce eksponatów komisja ukraińska zakwestionowała. Tak np. z pierwotnego spisu obrazów, który obejmował 1000 pozycji, pozostało zaledwie 105, wśród których tylko nieznaczny procent stanowiły cenniejsze. W Galerii Obrazów większość wytypowanych do wysłania przez polskich pracowników obrazów komisja ukraińska zakwestionowała. Polecono m.in. wyłączyć wszystkie tzw. martwe natury, portrety dzieci, obrazy przedstawiające zwierzęta, sceny i widoki ze Wschodu, Francji itd., malowane zresztą przez polskich artystów, oraz obrazy poruszające ogólniejsze tematy, jak np. cykl „Wojna” Grottgera, motywując to tym, że wszystkie te dzieła posiadają „międzynarodową wartość”. Argumentowano także, że portrety osobistości polskich malowane przez artystów

obcych nie posiadają żadnego związku z kulturą polską, że wszystkie portrety kobiece, malowane nawet przez artystów polskich, nie mają znaczenia dla narodu polskiego. Sprzeciwiono się wysłaniu do Polski szkicu Jana Stanisławskiego przedstawiającego widok Zakopanego, ponieważ w tej miejscowości bawił kiedyś „nasz wielki Lenin”, oraz portretu dzieci Jana Matejki, gdyż uznano, że jest to zbyt ładny obraz na prezent. Poza tym skreślono wszystkie cenniejsze eksponaty (np. popiersie Chopina Xawerego Dunikowskiego, portrety Boznańskiej, rysunki Wyspiańskiego, obrazy Jacka Malczewskiego i Juliusza Kossaka) motywując to tym, że w Polsce znajduje się wiele dzieł tych artystów, we Lwowie natomiast musi być odpowiednio reprezentowana sztuka „najbliższego sąsiada Ukrainy”. Na takich samych zasadach w Muzeum Przemysłu Artystycznego odpadła porcelana korecka itp. jako ukraińska, pasy słuckie jako białoruskie, meble gdańskie jako niemieckie.

Pozbawiony oficjalnego wsparcia ze strony władz polskich i coraz bardziej ograniczany w swoich kompetencjach prof. Gębarowicz był bezsilnym świadkiem poczynań Ukraińców. Tak, jak w latach pierwszej okupacji sowieckiej 1940-1941, tak i teraz obserwował rozgrabianie i zawłaszczanie polskich zbiorów narodowych. Szczególnie podział zbiorów ossolińskich, dokonany arbitralnie przez Ukraińców bez liczenia się ze zdaniem i racjami strony polskiej, był nie tylko klęską jego ponad dwuletnich wysiłków o uratowanie dla Polski tej substancji narodowej, ale także osobistą tragedią ostatniego lwowskiego dyrektora tej instytucji.

Pozostając na swoim posterunku we Lwowie, M. Gębarowicz zrobił wszystko, co mógł, dla ratowania dóbr polskiej kultury. A zrobił rzeczywiście wiele. Najwięcej zawdzięcza mu wrocławskie Ossolineum. Niestety, ciągle sprawa ratowania polskich dóbr kultury we Lwowie jest przysłowiową „białą plamą”. Przez wiele lat nie można było o tym oficjalnie pisać, obecnie nie żyje już większość uczestników i świadków wydarzeń. Również i prof. Gębarowicz nigdy nie doczekał się uznania za swoje zasługi. Dlatego też przypomnienie tych faktów w setną rocznicę jego urodzin jest jakąś formą oddania hołdu temu wybitnemu polskiemu humaniście i wielkiemu patriocie.

Lotnik — Mieczysław Borodej (1914-1984)

Mieczysław Borodej urodził się 12 IX 1914 r. w Stanisławowie. Do gimnazjum uczęszczał najpierw w rodzinnym mieście, a następnie w Tłumaczu, skąd w roku 1931, po ukończeniu VI klasy gimnazjalnej wstąpił do Szkoły Podoficerów Lotnictwa dla Małoletnich w Bydgoszczy, którą ukończył w stopniu kaprała lotnika i został skierowany do 6 pułku lotniczego we Lwowie, gdzie przebywał do 1938 roku. Pełnił funkcję mechanika-kaprała, latając przy tym na samolotach. Jako eksternista zdał maturę i trafił do Szkoły Podchorążych Lotnictwa w Dęblinie, wymarzonej „Szkoły Orląt”. Tu zastała go wojna i zgotowała mu los, przez jaki przeszły tysiące żołnierzy, szeregowych i oficerów. Przez Węgry, Jugosławię, Grecję i Morze Śródziemne dostał się do sojuszniczej Francji. Nastąpiło wielkie rozczarowanie. Francuzi nie rwali się do walki. Tylko niektórzy polscy lotnicy wzięli udział w sporadycznych, mało znaczących akcjach na francuskim niebie. Podchorąży Borodej czuł się mocno zawiedziony, nie tak wyobrażał sobie pobyt na francuskiej ziemi.



Mieczysław Borodej

W styczniu 1940 r. pchorąży M. Borodej znalazł się w jednej z pierwszych grup polskich lotników odpływających do Anglii. Odbił szkoleniowy obóz na południowo-wschodnim wybrzeżu Anglii. Po przeszkoleniu i opanowaniu w pewnym stopniu języka angielskiego w sierpniu 1941 roku sierżant podchorąży Mieczysław Borodej był już pilotem bombowym Dywizjonu 301 „Pomorskiego”. Odbił loty bojowe na miasta niemieckie i na francuskie porty pełne niemieckiego wojska. W czasie trzeciego lotu bojowego nad miastem Bremą samolot został zestrzelony, a załoga sześciu Polaków, uratowała się na spadochronach. Wszyscy dostali się do niemieckiej niewoli i zostali umieszczeni w Stalagu VIIIB, który znajdował się w obecnych Łambinowicach. Tu spotkał się z angielskim pilotem Richardem Pape. Wkrótce zaprzyjaźnili się i planowali wspólnie ucieczkę, która miała szansę powodzenia, ale tylko z miejsca pracy. W obozie znajdowało się około 20 000 jeńców, przeważnie żołnierzy armii lądowej. W kilku barakach mieścili się lotnicy, w pewnym stopniu izolowani od szeregowych żołnierzy. Władze niemieckie wybierały szeregowych żołnierzy, rozsyłając ich na roboty przymusowe do różnych miast III Rzeszy. Lotników do prac nie zabierano. Plan obu lotników był prosty w założeniu: trzeba „zamienić” się w szeregowców alianckiej armii lądowej i zdobyć ich dokumenty oraz znaczki rozpoznawcze z wybitymi numerami, pod którymi w kartotekach były zapisane personalia posiadacza danego numeru. W obozie znajdowali się żołnierze nowozelandzcy. Dwóch z nich zgodziło się na wymianę znaczków rozpoznawczych i baraków. W ten sposób lotnicy znaleźli się w baraku dla jeńców armii lądowej, oczekując na pobór do pracy.

W końcu lutego 1942 r. obaj wyjechali na przymusowe roboty do kopalni węgla w Bytomiu (dziś „Szombierki”). Pracowali wspólnie ze starymi Ślązakami. Z kilkoma się zaprzyjaźnili i wtajemniczyli w plan ucieczki. Ślązacy bardzo im pomogli w ucieczce do Częstochowy, gdzie zatrzymali się kilka dni w klasztorze SS. Szarytek, które z kolei pomogły im po kilkudniowym wypoczynku przedostać się do Krakowa. W czasie ucieczki Anglik poważnie zachorował i nie chcąc być przeszkodą dla swego przyjaciela oddał się w Krakowie w ręce Gestapo. Borodejowi udało się szczęśliwie dotrzeć do Lwowa, gdzie znalazł schronienie u znajomych. Wstąpił w szeregi Armii Krajowej pod pseudonimami „Wojciech” i „Śruba”. W krótkim czasie dał się poznać jako doskonały organizator, gorący patriota, odważny, zawsze zdecydowany do wykonania najtrudniejszych rozkazów. Dowództwo Okręgu Lwowskiego powierzyło mu prowadzenie wywiadu wojskowego na szczeblu Okręgu i kontrwywiadu na terenie miasta Lwowa. Na najniebezpieczniejszych odcinkach pracy konspiracyjnej był zawsze w pierwszej linii i swoim przykładem wzbudzał podziw i szacunek wśród żołnierzy. Został awansowany do stopnia porucznika. Przeprowadził wiele akcji bojowych na terenie miasta Lwowa, a najważniejszą z nich była akcja uwolnienia więźniów ze szpitala przy ul. Zamarstynowskiej, która odbiła się wówczas głośnym echem w całym mieście. Podaję ustną relację z tej akcji, nagranej na

taśmie magnetofonowej kilkanaście lat temu, która jest w moim posiadaniu. Kpt. Mieczysław Borodej zrelacjonował: »W kwietniu 1942 r. aresztowano Lecha Sadowskiego ps. „Wasył” i „Lerski”, delegowanego z Warszawy do pracy konspiracyjnej w AK na terenie Obszaru Lwowskiego gdzie pełnił funkcję szefa Biura Informacji i Propagandy (BIP) i trzymano go w więzieniu przy ul. Łackiego. W więzieniu tym mieliśmy kilku informatorów, jak Mieczysława Hoznera ps. „Rehabilitator”, zaprzysiężonego pracownika służby więziennej, Włodka Bieleckiego – lekarza więziennego i wielu innych. Od nich otrzymywaliśmy informacje, że Sadowski jest potwornie torturowany przez gestapo, że zachodzi obawa, iż tego śledztwa nie wytrzyma i w końcu załamie się. Prosił o podanie trucizny. Dowództwo Obszaru postanowiło go uwolnić z więzienia. Ponieważ zbrojne odbicie nie wchodziło w rachubę jako niemożliwe do wykonania, postanowiono użyć innego sposobu. W tym czasie w więzieniu na Łackiego zdarzały się wypadki zachorowań na tyfus i chorych więźniów przetrzucano do szpitala więziennego przy ul. Zamarstynowskiej. Lekarz więzienny Bielecki zrobił zastrzyk Sadowskiemu, wywołujący wysoką temperaturę, i w ten sposób pod pozorem zachorowania na tyfus został skierowany do szpitala więziennego, który mieścił się w budynku szkoły powszechnej im. J. Słowackiego przy ul. Zamarstynowskiej. Otrzymałem rozkaz rozpracowania tego szpitala i przygotowania akcji uwolnienia „Lerskiego”. Z przeprowadzonego wywiadu dowiedziałem się, że obsługa medyczna w tym szpitalu jest polska, że pracuje tam dr Soroko, prof. Czyżowska i dr Gołębiowska. Straż w tym szpitalu pełni policja ukraińska i najmniejsza obsada strażników w szpitalu jest między godziną 18 i 19. Wtedy policjanci udają się na posiłek, a w szpitalu na straży pozostaje tylko trzech, jeden w wartowni na parterze i dwóch na drugim piętrze, gdzie w celach przebywają chorzy. Akcję przeprowadziłem ze swoim zastępcą, Tadeuszem Korzinkiem ps. „Ścibor”, wówczas studentem weterynarii we Lwowie, i z pięcioma najodważniejszymi i najdzielniejszymi żołnierzami mojego oddziału.

15 IV 1943 r. o godzinie 18 we dwójkę ze „Ściborem” weszliśmy do szpitala, zostawiając pięciu chłopaków do ochrony w pobliżu, którym zapowiedziałem, że mają wtargnąć do wnętrza za nami po upływie dwóch, trzech minut. Na wartowni błyskawicznie sterroryzowaliśmy policjanta, związaliśmy go, zakneblowaliśmy i przerwali połączenie telefoniczne. Następnie wbiegliśmy na drugie piętro, gdy tymczasem pozostała grupa z zewnątrz weszła do budynku, wywaliła drzwi od magazynu ubraniowego i na I piętrze sterroryzowała obecnych tam pracowników, a my na II piętrze powiązaliśmy i zakneblowaliśmy dwóch policjantów oraz sterroryzowaliśmy obsługę medyczną, wiążąc także niektórych, by tym odwrócić podejrzenie Niemców, że z nami współpracowali. Otworzyliśmy wszystkie cele i zawołali: „ratujcie się ucieczką o własnych siłach, ponieważ my nie jesteśmy w stanie wam pomóc”. „Lerskiego” sprowadziliśmy do magazynu ubraniowego i po odzianiu go zaprowadziliśmy do czekającego niedaleko auta. Akcja

trwała niecałe pół godziny, przeprowadzona została bez ofiar śmiertelnych i krwi. Uwolniono się około 40 więźniów, pozostali tylko ciężko chorzy. Później dowiedziałem się, że dopiero po upływie jednej godziny od naszego odejścia przybyło gestapo, zaalarmowane przez pierwszego policjanta, który zjawił się na wartowni».

W czasie tej akcji skorzystał z okazji i uwolnił się z więzienia przebywający tam ks. Stanisław Frankl, rektor Seminarium Duchownego we Lwowie, o czym pisze dokładnie ks. Szetelnicki w swojej książce „Zapomniani Lwowski Bohater”.

Pod koniec lipca 1944 r., tj. w czasie akcji „Burza” M. Borodej, ps. „Śruba” dowodził swym oddziałem w Śródmieściu w obrębie ulic Mikołaja, Długosza i Mochnackiego. Miejsce dowodzenia znajdowało się przy ul. Długosza tam został aresztowany jako jeden z pierwszych we Lwowie pod koniec akcji „Burza”. W styczniu 1945 r. zasądzony został na 20 lat katorgi i wywieziony na sławną dziś Kołymę do pracy w kopalniach złota.

Pracując w potwornych warunkach w kopalni złota 9 listopada 1949 r. uległ nieszczęśliwemu wypadkowi przy pracy. Został przywalony gruzem skalnym w czasie wysadzania skały dynamitem. Cudem uniknął śmierci, ale doznał ciężkiego uszkodzenia czaszki i stracił jedno oko. Ponad rok był leczony w szpitalu, który opuścił jako kompletny inwalida niezdolny do pracy. We wrześniu 1955 r. wrócił z katorgi. Zamieszkał we Wrocławiu, skąd nawiązał kontakt z Anglikiem, Richardem Pape, który po oddaniu się w ręce Gestapo, bity, przeżył ciężkie obozy karne i jesienią 1944 r. symulując — z całkowitym powodzeniem — przed szwedzką komisją Czerwonego Krzyża chorobę umysłową i ciężki stan zdrowia, na drodze wymiany jeńców znalazł się w Szwecji, skąd wyjechał do Anglii. Borodej odwiedził go w Londynie, gdzie został serdecznie przyjęty. Pape ofiarował mu swoją książkę pt. *Boldness be*

my friend, która stała się prawdziwym bestsellerem. Opisuje w niej swoje przeżycia wojenne, szczególnie w obozie jenieckim Stalag VIII B. Wiele miejsca w tej książce poświęcił swemu polskiemu przyjacielowi.

Kiedy po odbyciu ponad 14 lat katorgi w sowieckich łagrach, oddany jako więzień do dyspozycji władz PRL opuściłem w połowie kwietnia 1959 roku progi więzienia w Łęczycy, poczułem się bardzo zagubiony, zrezygnowany, bliski depresji i załamania. Jako inwalida z niedowładem prawej ręki z utracą zdrowiem widziałem swoją przyszłość w ciemnych kolorach. We Wrocławiu spotkałem Miecia Borodeja i zobaczyłem, że on wrócił z sowieckiej katorgi jeszcze bardziej poszkodowany niż ja, chociaż przebywał tam kilka lat krócej ode mnie i po czterech latach powrotu urządził sobie, w jakimś zadowalającym go stopniu, życie. On dodał mi otuchy, przekonał mnie, że przede wszystkim powinienem ukończyć studia i zdobyć zawód lekarza weterynaryjnego. (Kiedy mnie aresztowano w 1945 r. byłem absolwentem weterynarii we Lwowie i zdawałem ostatnie egzaminy dyplomowe.) Przekonywał mnie, że powinienem starać się o rentę inwalidy wojennego. „Nie ma znaczenia — mówił — że straciłeś rękę przez bolszewików, oświadczy myżymy reżimowej peerelowskiej władzy, że zostałeś ranny walcząc z Niemcami. Ja pierwszy złożę takie oświadczenie, znajdą się i inni koledzy, którzy to potwierdzą”. Znaleźli się, lecz niestety nie ma ich już wśród nas. Trzeba było mieć nie lada odwagę, by dla udzielenia pomocy koledze narażać się wówczas na takie ryzyko, po doznaniu tak potwornych doświadczeń na Kołymie. Ale taki już był niezapomniany Miecio Borodej, zawsze ofiarny, koleżeński, serdeczny i przyjazny, cichy i skromny lwowski bohater, oddany całkowicie idei obrony polskości Lwowa i Małopolski Wschodniej.

Bronisław Szeremeta
oficer Okręgu Lwowskiego NOW-AK, Ps. „Ryś”

KAMILA SCHUSTER

Z dziejów szkoły PP. Benedyktynów łacińskich we Lwowie

Klasztor Sióstr Benedyktynów łacińskich we Lwowie znajdował się w uroczym zakątku tego miasta, przy placu Benedyktyńskim 2. Na dziedzińcu przed tym gmachem było zawsze gwaro, gdyż w murach klasztornych prócz cel sióstr zakonnych mieściły się również sale szkolne. W tych murach kształciły się od dawna dziewczęta Lwowa.

Szkoła ta miała bogate historyczne tradycje. Klasztor Benedyktynów pod Wysokim Zamkiem, ufundowany w 1596 r. przez Saporowskich, od niemal najwcześniejszych lat zajął się sprawą wychowania i kształcenia dziewcząt. Już z początkiem XVII wieku i w czasach późniejszych prowadził on konwikt, w którym dziewczęta możnych rodów magnackich i szlacheckich, szczególnie z kresów południowo-wschodnich Rzeczypospolitej, mieszkaly i pobierały naukę. Uczyły się tu

czytania i pisanie po polsku oraz po łacinie, religii, muzyki, śpiewu kościelnego, szycia, robót ręcznych. Starano się wpajać dziewczętom cnoty chrześcijańskie i budzić uczucia patriotyczne, przywiązanie do dawnych zwyczajów oraz poszanowanie pamiątek narodowych. W konwikcie benedyktyńskim kształciły się m.in. córki takich sławnych rodów, jak: Wiśniowieccy, Sobiescy, Jabłonowscy, Rzewuscy, Czetwertyńscy czy Kazanowscy.

Dla klasztoru, jak i dla całego Lwowa, nastały smutne czasy po pierwszym rozbiórze Polski — po 1772 roku. Austria, której w udziale przypadł Lwów, rozpoczęła na całym zagarniętym terenie germanizację. Jednym ze środków służących do zniemczenia tzw. Galicji i Lodomerii miała być nauka szkolna. Za Marii Teresy i jej syna Józefa II w całej Austrii, w tym także

i w kraju zabranym Polsce, zaprowadzono jednolity system szkolny. Wprowadzono tak zwane szkoły normalne, w miastach i większych wsiach szkoły trywialne, w mniejszych szkoły parafialne. W szkołach tych język niemiecki wprowadzony jako wykładowy miał przyczynić się do walki z polskością. Rozpoczęto również walkę z kościołem, w tym likwidację klasztorów. W trudnym momencie, gdy groziła likwidacja PP. Benedyktyniek, klasztor, który od lat zajmował się wychowaniem i nauczaniem dziewcząt, podjął myśl utworzenia dla nich szkoły publicznej. Została ona otwarta w 1784 r. jako szkoła trywialna, składająca się z czterech klas – wstępnej, tak zwanej sztuzy i trzech następnych. Szkoła Benedyktyniek łacińskich we Lwowie była jedną z pierwszych publicznych szkół żeńskich na terenie miasta. Ówczesna ksieni klasztoru Maria Alojza Potocka oraz inne zakonniczki włożyły wiele trudu i starań w jej uruchomienie. Szkoła utrzymywana była z funduszy klasztornych. Rząd austriacki opłacał jedynie księdza katechetę oraz dwie nauczycielki świeckie. Szkołą kierował wyznaczony przez Radę Szkolną dyrektor – ksiądz, który odpowiadał za poziom nauki oraz zarządzał szkołą. Prócz tego ze strony klasztoru sprawami szkolnymi zajmowała się siostra prefekta.

Mimo, że szkoła, jak wszystkie wówczas w Galicji, była prowadzona z językiem wykładowym niemieckim i musiała realizować nakazany jej program, stała jednak, jak zapisano w jednym z rękopisów klasztornych, „na straży ducha narodowego, bo były w niej polskie serca”.

Lepsze dni dla tej i innych szkół w Galicji nastały w czasie Wiosny Ludów w 1848 r. Pod wpływem ruchów wolnościowych zelżała nieco germanizacja. W szkole PP. Benedyktyniek był wówczas dyrektorem ks. Edward Czerny, Czech, z pochodzenia. Za jego rządów szkoła powoli z niemieckiej stawała się polską. Język polski stał się językiem wykładowym i oddzielnym przedmiotem nauczania.

W programach nauczania znalazły się takie przedmioty, jak historia Polski czy literatura polska. W 1883 r. szkoła PP. Benedyktyniek miała już VIII klasę. Stała się pełną szkołą wydziałową. Spełniała ona swoją ważną rolę na terenie Lwowa i przygotowała dziewczęta polskie do chwili, w której byt niezależny Państwa Polskiego miał stać się rzeczywistością.

Wykształcenie dziewcząt w Galicji stało na dużo niższym poziomie niż chłopców, dla których rząd austriacki otwierał gimnazja, toteż należy mocno podkreślić pionierską rolę szkoły żeńskiej benedyktyńskiej we Lwowie. Dawała ona kształcącym się w jej murach wychowankom szerszy zakres wiedzy i zrównanie ich pod względem wykształcenia z chłopcami.

Kiedy po długich latach niewoli powstało niepodległe Państwo Polskie, przed szkołą PP. Benedyktyniek łacińskich we Lwowie stanęły nowe zadania. Należało powoli dostosowywać programy nauczania do nowej rzeczywistości. Trud ten w głównej mierze przypadł w udziale nowej kierowniczce szkoły, prefekcie s. Michalinie (imię świeckie Józefa) Kucharskiej. Była ona wychowanką dawnej szkoły benedyktyńskiej, w której potem uczyła jako młoda nauczycielka. Nominację na prefektę szkoły otrzymała 3 lipca 1923

roku. Natychmiast zabrała się energicznie do pracy. Od 1928 r. musiano powoli i systematycznie przystosować programy klas piątej, szóstej i siódmej do zrównania z programami klas od I do III gimnazjalnej. Po trzech latach musiano włożyć nowy trud w związek z reorganizacją szkolnictwa polskiego.

W roku szkolnym 1933/34 zostało utworzone u PP.

Benedyktyniek 4-letnie gimnazjum nowego typu, którego dyrektorką została dr Maria Słuszkiewiczowa, a następnie w 1936 r. Maria Wierzyńska, bratowa poety Kazimierza, żona Hieronima, również literata. Prócz gimnazjum nowego typu do I wojny światowej ss. Benedyktynki prowadziły szkołę podstawową pod kierownictwem prefekty Michaliny Kucharskiej.



S. Michalina
(Józefa Kucharska)

Bilans dotychczasowych swoich osiągnięć w przeszłości dawnej i czasach powojennych mogło kierownictwo szkoły podsumować w obchodzonym uroczystości jej 150-leciu w 1935 r. Uroczystości jubileuszowe miały miejsce w dniu 3 marca. Złożyły się na nie: poświęcenie sztandaru szkolnego w czasie Mszy św. w przyklasztornym kościele pw. Wszystkich Świętych oraz po południu – akademii. Jubileuszowe uroczystości zasadniczo ujęły okres od powstania publicznej szkoły po I rozbiórze Polski, ale, jak wiadomo, sprawą wykształcenia dziewcząt klasztor ten zajmował się już dużo wcześniej, niemal od swoich początków, toteż w jednym z rękopisów klasztornych zanotowano zdanie, że „Szkoła benedyktyńska narodziła się w czasach niepodległości Polski, trwała i rozwijała się w czasach niewoli oraz przeżyła swój okres rozkwitu w latach dwudziestolecia międzywojennego”.

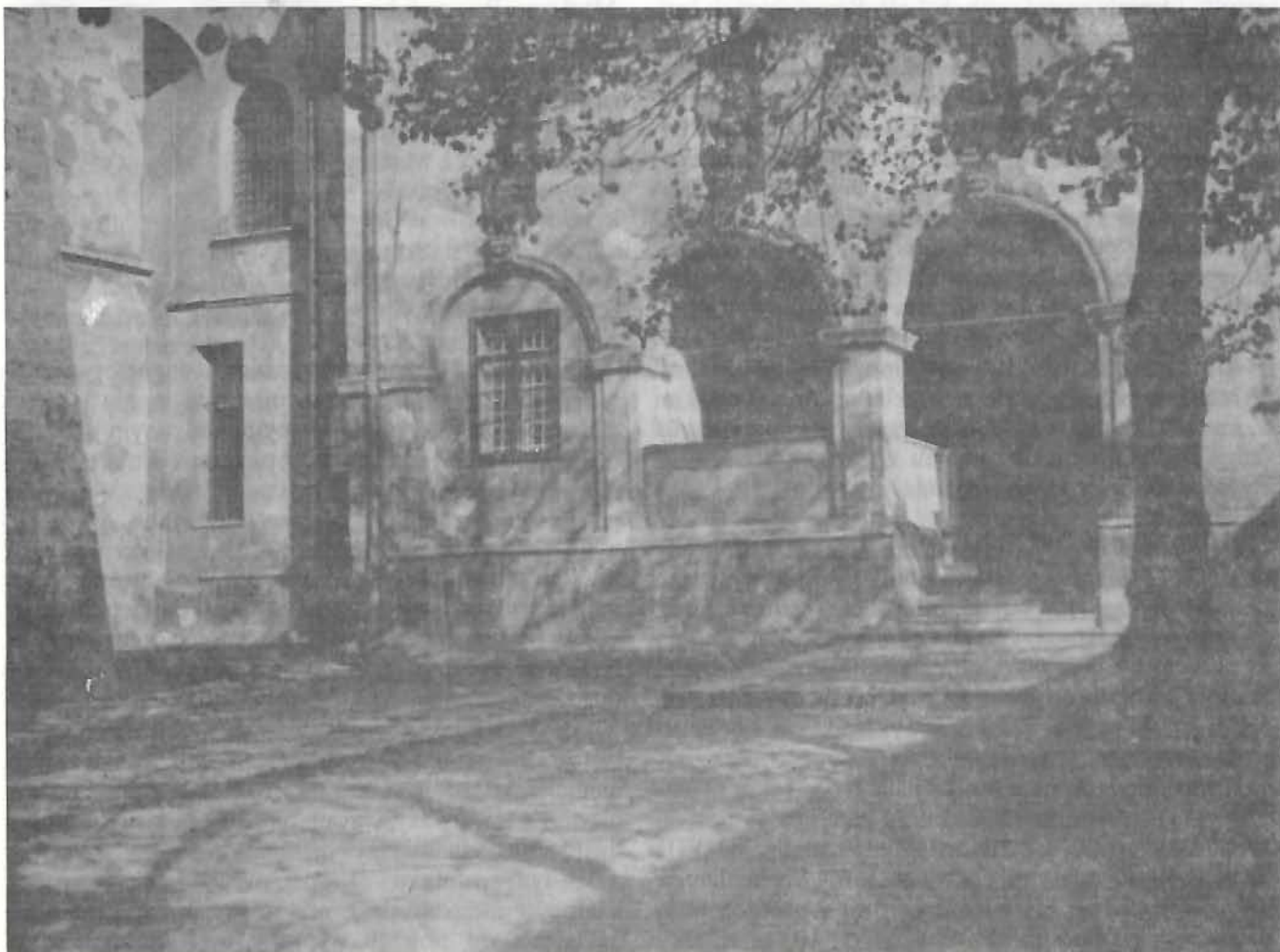
W tym ostatnim okresie swego istnienia prócz trudności związanych z przystosowaniem programu nauczania do potrzeb współczesnych czasów i zachodzących zmian w państwie oraz w systemie nauczania przedwojenna szkoła PP. Benedyktyniek łacińskich we Lwowie miała również do pokonania duże przeszkody innego rodzaju. Po wizytacji przeprowadzonej przez Kuratorium Lwowskiego Okręgu Szkolnego w styczniu i lutym 1935 r. nakazano przystosowanie budynku klasztornego do nowoczesnych potrzeb szkolnych. Chodziło o salę gimnastyczną oraz gabinety naukowe – przyrodniczy i fizyczny. Na tę rozbudowę klasztor sprzedał m.in. dwie wsie. Konwent, który sprawy szkoły uważał za bardzo ważne i cel wychowania powierzonych jego opiece dziewcząt stawiał na pierwszym miejscu, nie zawahał się przed poniesieniem tak dużych wydatków. W stosunkowo krótkim czasie w części ogrodu klasztornego zostało dobudowane nowe skrzydło przeznaczone na użytek szkoły: urządzenie sali gimnastycznej, gabinetów i dodatkowych klas. 29 września 1936 r. ks. arcybiskup lwowski

Bolesław Twardowski dokonał uroczystego poświęcenia nowej dobudowanej części gmachu klasztornego.

Niestety, niedługo było dane szkole benedyktyńskiej i jej wychowankom korzystać z nowych warunków i udogodnień. Dalszemu rozwojowi szkoły przeszkodziła II wojna światowa i tragiczne losy naszego kraju.

Co dawała benedyktyńska szkoła międzywojenna swoim wychowankom? Oddana jej całą duszą i sercem s. prefekta Michalina Kucharska tak po latach napisała: „Co otrzymywały na dalsze życie polskie dziewczęta tych czasów, gdy siostry zakonne prowadziły szkołę w tzw. „Domu pod żelaznym lwem”. Wypracowywano pogłębienie wiary i poczucie braterstwa,

s. prefekty było: „Zawsze naprzód, zawsze wzwyż”. Z dużym uznaniem wyrażają się były uczennice o specjalnych godzinach wychowawczych, prowadzonych przez s. prefektę. W szkole panowała atmosfera przyjacielska, rodzinna. Dziewczęta zwierzały się ze swoich drobnych i większych zmartwień wychowawczyniom, które — jak podkreśla w swych wspomnieniach Bronisława Magierowska — wysłuchiwały je uważnie i starały się pomóc w różnych kłopotach. Szkoła interesowała się także warunkami materialnymi swych uczennic. Dziewczęta łączyła serdeczna przyjaźń, która wykroczyła daleko poza lata szkolne i przetrwała do dnia dzisiejszego.



Wejście do klasztoru i szkoły PP Benedyktynek łacińskich we Lwowie 1929 r.

aby wszyscy byli sobie bliscy, aby umieć okazywać w życiu serdeczną przyjaźń i wzajemną, chrześcijańską życzliwość oraz szlachetny patriotyzm... Było w murach naszej szkoły tętniące serdecznością życie. Młodzież wynosiła z niej tyle ciepła, że po latach, gdy spotkałam którąś z naszych dziewczynek, wzruszenie, a najczęściej łzy zastępują im słowa powitania. Cieszę się, że tak było. Miło mi, że byłam częścią tej szkoły przez wiele lat”. A oto co o szkole lwowskiej PP. Benedyktynek wspomina po latach jedna z jej wychowanek, Helena Sawa: „Tu kształtowały się nasze umysły i serca, tu stawałyśmy się szlachetniejsze i lepsze, tu uczono nas szacunku do rodziców i starszych, mieć otwarte serca dla bliźnich”. Starano się dać dziewczętom wskazówki na całe dalsze życie. Hasłem

Po upadku Polski w 1939 r. i przejściu Lwowa pod okupację sowiecką nie mogło być mowy, by czynna była szkoła klasztorna PP. Benedyktynek. W tej nowej rzeczywistości realizacja celów wychowawczych i religijnego kierunku były nie do pomyślenia. Siostry musiały w części klasztornej, w przebraniu świeckim prowadzić ciche życie. Część z nich wróciła do rodzin, aby tam przetrwać trudne czasy. Te, które pozostały w dawnych murach klasztornych, nie przestały służyć ludziom, choć w inny niż dotąd sposób. Na terenie klasztoru zgromadziło się wiele ludzi z innych części Polski, szczególnie ze Śląska, skąd uciekli przed działaniami wojennymi. Trzeba było nie tylko udzielić im schronienia, ale i podzielić się skromnymi zapasami żywności. Niektórzy z tych ludzi to byli żołnierze,

którym trzeba było pomóc w zdobyciu ubrań cywilnych czy też zapewnić jakieś lokum. Część z nich korzystała tylko z chwilowej pomocy i schronienia, niektórzy jednak mieszkali przez parę miesięcy w pomieszczeniach klasztornych. Były tu też nawet całe rodziny.

Gen. Marian Januszajtis, który brał udział w obronie Lwowa we wrześniu 1939 r., powziął plan utworzenia tajnej organizacji, która miała na celu zabezpieczenie broni i amunicji pozostałej po walkach, konserwację jej i ukrycie, przerzut wojskowych, szczególnie takich, jak lotnicy czy służba pancerna – na Węgry i do Rumunii. Została zorganizowana służba łączności, w powstaniu której wybitny udział miała dyrektorka gimnazjum PP. Benedyktynek Maria Wierzyńska. W organizacji, którą tworzył gen. Januszajtis, miała ona powierzone kierownictwo sekcji łączniczek. Na terenie szkoły czynny był jeden z punktów kontaktowych. Wśród nich były prócz uczennic gimnazjum też i inne osoby nie związane ze szkołą, prawdopodobnie mające kontakt z Przysposobieniem Wojskowym Kobiet we Lwowie, gdzie Wierzyńska była przed wojną instruktorką. O sprawach konspiracji wiedziała również prefekta szkoły Michalina Kucharska. Działalność grupy i zadania jej powierzone to śledzenie posunięć Armii Czerwonej, także i w powiatach sąsiadujących ze Lwowem, czy rozprowadzanie ulotek. Z tych jedna wydana przed wyborami do Zgromadzenia Narodów Ukrainy wzywała ludność polską do ich bojkotu, deputaci wybrani w głosowaniu mieli bowiem zadecydować o przyłączeniu Małopolski Wschodniej do USSR. Wybory miały odbyć się 22 X 1939 r., a wkrótce po nich, 26 lub 27 października gen. Januszajtis został aresztowany. Aresztowano również inne osoby związane z tą organizacją, m.in. Marię Wierzyńską. Prefekta szkoły benedyktyńskiej zdołała ująć z klasztoru i musiała się ukrywać. Podobno, gdy w przebraniu opuszczała klasztor, minęła się z NKWD, które szło po nią. Opuściła potem strefę okupacyjną sowiecką i ukrywała się następnie w jakiejś wiosce pod Krakowem.

Przeciw dyrektorce gimnazjum i grupie aresztowanych z nią wytoczono proces. Nie wszystkie łączniczki jednak zostały ujęte, niektóre szczęśliwie uniknęły aresztowania i dalszych jego konsekwencji. W sprawie przeciw Wierzyńskiej i związanym z nią osobom zapadł wyrok 12 kwietnia 1940 r. Skazano Marię Wierzyńską na karę śmierci przez rozstrzelanie oraz konfiskatę mienia. Oskarżone: Maria Błażewska i Maria Motylewska zostały zasądzone na dziesięć lat pozbawienia wolności w dalekich obozach Związku Radzieckiego oraz po odbyciu tej kary na pozbawienie praw przez pięć lat. Stanisława Wanat otrzymała wyrok zsyłki na 6 lat, a po odbyciu kary na 3 lata pozbawienia praw. Wanda Bober (w akcie oskarżenia Irena Maria Wanda) i Kazimiera Korczyńska skazane zostały pierwsza z wymienionych na pięć, druga na trzy lata więzienia. Wszystkie były dawnymi wychowankami szkoły benedyktyńskiej.

Przykładów zaangażowania się zarówno nauczycieli, jak i uczennic tej szkoły w sprawę walki podziemnej i pracy konspiracyjnej jest więcej. Dotyczą

one zarówno okupacji sowieckiej, jak i niemieckiej. W akcji pomocy uwięzionym bardzo czynnie działała długoletnia nauczycielka tej szkoły, Zofia Zaleska, która nosiła dla uwięzionych paczki z żywnością, a także pozbawionym pociech duchowych przekazywała ukryte komunikaty. W czasach okupacji niemieckiej ks. Albin Mydlarz, dawny katecheta szkoły PP. Benedyktynek, był kapelanem III Obszaru ZWZ AK we Lwowie. Wspomniana poprzednio s. prefekta Michalina Kucharska włączyła się wydatnie w sprawę tajnego nauczania.

W czasie okupacji udostępniła swoje mieszkanie do tajnego nauczania jedna z uczennic Sfefania Gorgosz-Gertler. Po wojnie uczestniczki tego kursu mogły od razu przystąpić do pracy pedagogicznej. W konspiracji poważnie była zaangażowana dawna uczennica szkoły benedyktyńskiej, Janina z Neugebauerów Rasiowa. Współpracowała ona w latach 1940-1943 z siostrą swego męża, Marią Raś, komendantką Narodowej Organizacji Wojskowej we Lwowie działającą też w AK.

W mieszkaniu J. Raś i jej męża Tadeusza był punkt kontaktowy. Służyło ono również jako nielegalne schronienie dla zaangażowanych w konspirację. Podobnie absolwentki niegdyś ósmej klasy szkoły benedyktyńskiej Apolonia Kondziola i autorka niniejszego artykułu związane były z pracą podziemną. A. Kondziola pracowała w harcerskiej organizacji „Szare Szeregi” oraz w AK, zajmując się między innymi kolportażem prasy podziemnej. W mieszkaniu drugiej z wymienionych był punkt kontaktowy i przelotowy magazyn broni AK.

Jest to tylko parę przykładów zaangażowania się byłych uczennic benedyktyńskiej szkoły w pracę konspiracyjną.

Do szkoły benedyktyńskiej i jej wychowawców zachowały uczennice miłość i przywiązanie, chociaż często po jej ukończeniu uczęszczały do innej średniej czy wyższej – tę traktowały i traktują jako najważniejszą w ich życiu. Wyniosły z niej zasadnicze wskazówki i ukierunkowanie na dalsze lata. Za życia s. prefekty Michaliny Kucharskiej (zmarłej w 1978 r.) wiele z nich utrzymywało z nią serdeczną korespondencję czy przyjeżdżało do Krzeszowa k. Kamiennej Góry, gdzie osiadły po wojnie lwowskie Benedyktyнки, by porozmawiać, powierzyć jej, jak dawniej, swoje troski i radości. Te, które uczyły się w szkole benedyktyńskiej skupia dziś w Krzeszowie ich dawna koleżanka Bronisława Orłowska, obecnie s. Ewangelista. Kilkakrotnie organizowano w Krzeszowie zjazdy byłych uczennic, na które przyjeżdżają uczestniczki nieraz z dalekich stron kraju. Pamiętają o tym, by pomodlić się za zmarłych wychowawców spoczywających na cmentarzach we Lwowie czy innych na terenie dzisiejszej Polski. Chwilę zadumy i modlitwy spędzają na przyklasztornym cmentarzu w Krzeszowie, nad grobami s. ksieni Janiny Szymańskiej, s. prefekty Michaliny Kucharskiej oraz dawnych wychowawczyń, tak zwanych mistrzyń. Ogarniają swym wspomnieniem siostry Benedyktyнки lwowskie, związane z dawnym klasztorem i szkołą, z którą wiąże się ważna część ich życia.

Lotniczy Lwów

W Małopolsce pod zaborem austriackim ostoją myśli lotniczej był Lwów. Już 25 sierpnia 1884 roku powstało Aeronautyczne Towarzystwo Akcyjne dla Przedsiębiorstw Powietrznej Żeglugi Jego działalność nie znalazła odzewu i skończyła się na wydaniu jednego numer własnego pisma „Astronauta”. W roku 1909 z inicjatywy inż. Edmunda Libańskiego założono Towarzystwo „Awiata”. Celem Towarzystwa było popularyzowanie awiatyki. Cel ten realizowano przez organizowanie odczytów, informację prasową, próby i doświadczenia. Działalność „Awiaty” trafiła na podatny grunt. Grupa młodzieży i pracowników naukowych Politechniki, przejęta głęboką wiarą w przyszłość lotnictwa, założyła 6 listopada 1909 r. Związek Awiatyczny Słuchaczy Politechniki Lwowskiej. Członami honorowymi byli inż. Stefan Drzewiecki i prof. Zygmunt Sochacki. Kuratorem został prof. Maksymilian Huber. Związek Awiatyczny był najstarszą polską organizacją lotniczą. Jego działalność to głównie prace naukowe i konstrukcyjne. W 1910 roku Związek zorganizował I Wystawę Awiatyczną. Na wystawie w gmachu politechniki eksponowano modele samolotów, szybowców, silników lotniczych oraz fragmenty zbudowanych we Lwowie samolotów. Lata 1909-1914 to okres powstania pierwszych lwowskich konstrukcji lotniczych.

W 1910 roku inż. Libański zbudował samolot o oryginalnej nazwie „monobiplan”. Podczas prób silnik eksplodował, a samolot uległ poważnym uszkodzeniom. W tym samym roku inż. Jan Weber i prof. inż. Zygmunt Sochacki zbudowali samolot wzorowany na francuskim samolocie typu „farman”. W czasie próby wzlotu samolot oderwał się od ziemi, ale wpadł na drzewo i rozbił się. W roku 1911 inż. Libański przy pomocy inż. Witolda Rumbowicza zbudował udany samolot „jaskółka”. Został on oblatany we Lwowie, a dalsze próby prowadzono w Wiener-Neustadt.

W celu popularyzacji lotnictwa Związek Awiatyczny wraz z Towarzystwem „Awiata” zorganizował pierwszy publiczny pokaz lotniczy. W pokazie tym pilot francuski Pierre Grand na samolocie typu „bleriot XI” wykonał w kwietniu 1910 roku niezbyt udane loty nad Lwowem. Natomiast w 1912 udane loty nad Lwowem wykonywał polski pilot Scipio del Campo również na samolocie „bleriot XI”.

W latach 1913-1914 bracia Tadeusz i Władysław Floriańscy zbudowali dwumiejscowy samolot wywiadowczy.

Gdy wybuchła pierwsza wojna światowa, samolot skonfiskowały austriackie władze wojskowe, lecz nie zdążyły go wywieźć ze Lwowa z powodu szybkiej ofensywy rosyjskiej. Rosjanie dokończyli montażu i przez dłuższy czas wykonywali na nim loty wywiadowcze z lwowskiego lotniska. Był to pierwszy samolot użytkowy polskiej konstrukcji. W czasie tej wojny



lotnicy lwowscy nie byli bezczynni. Walczyli o Lwów w latach 1918-1920.

W dniu 5 listopada 1918 roku załoga por. pil. Stefan Bastyr i por. obs. Janusz de Beaurain wykonała pierwszy lot bojowy polskiego samolotu, startując ze zdobytego lotniska na Lewandówce. Na lotnisku tym uruchomiono Lwowskie Warsztaty Lotnicze, które prócz remontu samolotów i silników pozostawionych przez wojska austriackie produkowały seryjnie udoskonalone samoloty „Hansa-Brandenburg”.

Po wojnie w roku 1923 wznowił swą działalność Związek Awiatyczny Studentów Politechniki Lwowskiej, zajmując się przede wszystkim szybownictwem. W trudnych warunkach Waław Czerwiński zbudował szybowiec CW-1. Na szybowcu tym pilot Szczepan Grzeszczyk wykonał 25 maja 1928 roku rekordowy jak na ówczesne czasy lot. Po tym sukcesie nastąpił szybki rozwój polskiego szybownictwa, a Lwów stał się ośrodkiem, z którego wychodzą liczni konstruktorzy i piloci.

W lutym 1928 roku z inicjatywy Związku Awiatycznego powstał Aeroklub Lwowski, którego zadaniem było szkolenie pilotów i propaganda sportu lotniczego. W roku 1928 na Wydziale Mechanicznym Politechniki utworzono Sekcję Lotniczą. Opiekunem Sekcji był prof. inż. Stanisław Łukasiewicz. W następnym roku powstało Laboratorium Aerodynamiczne Politechniki Lwowskiej. Kierownikiem Laboratorium był dr inż. Zygmunt Fuchs. W styczniu 1929 roku Waław Czerwiński z kolegami ze Związku Awiatycznego zorganizował wyprawę szybowcową w Bieszczady. Wyprawa dysponowała szybowcami CW-II i CW-III.

Udane loty na zboczach Gór Słonnych w Bezmiechowej zachęciły do następnych wypraw. Rezul-



Z lewej strony
inż. Franciszek Kotowski;
z prawej
prof. inż. Stanisław Łukasiewicz

tatem ich było utworzenie w 1932 roku słynnej Szkoły Szybowcowej w Bezmiechowej, zwanej często „Akademią Szybowcową”.

Coraz intensywniejsze latanie szybowców wymagało różnych rodzajów szybowców. Konstruktorzy: Wacław Czerwiński, Władysław Jaworski, Szczepan Grzeszczyk, Adam Nowotny, Franciszek Kołowski opracowali wiele projektów dobrych szybowców. Realizacja tych projektów wymagała odpowiedniego zaplecza warsztatowego. W 1930 roku powstały Warsztaty Szybowcowe ZASPL, które do 1937 roku wyprodukowały 190 szybowców. W roku 1937 zostały one wykupione przez Lwowskie Warsztaty Lotnicze, w których zbudowano 160 szybowców oraz prototypy motoszybowców. Rozwój szybownictwa wymagał odpowiedniego zaplecza naukowo-badawczego. W tym celu utworzono w 1932 roku Instytut Techniki Szybownictwa. Był to drugi na świecie instytut tego rodzaju. W 1936 roku zmienił on nazwę na Instytut Techniki Szybownictwa i Motoszybownictwa. Aeroklub Lwowski miał też poważne osiągnięcia sportowe dzięki takim pilotom, jak Piotr Mynarski, Bolesław Baranowski, Szczepan Grzesz-

czyk, Kazimierz Chorzewski, oraz pilotkom jak Wanda Olszewska, Maria Younga-Mikulska, Danuta Sikorzanka. W Skniłowie znajdowało się lotnisko wojskowe (6 Pułk Lotniczy) oraz cywilne (PLL „Lot” i Aeroklub).

W roku 1938 na terenie Targów Wschodnich zorganizowano I Ogólnopolską Wystawę Lotniczą. W maju 1939 roku odbył się we Lwowie Kongres Międzynarodowego Komitetu Studiów nad Lotem Bezsilnikowym (ISTUS). Uczestniczyło w nim 8 państw.

Wybuch drugiej wojny światowej położył kres działalności lotniczej środowiska lwowskiego, niektórzy członkowie Związku Awiatycznego zginęli w czasie działań wojennych, inni rozproszyli się po świecie, a tylko nielicznym było dane wrócić do wyzwolonej Ojczyzny.

Takie nazwiska byłych członków Związku Awiatycznego, jak Rudolfa Weigla, Rudolfa Matza, Franciszka Kotowskiego, Piotra Mynarskiego, Wiktora Rotha, Stanisława Lassoty, Romana Zatwarnickiego, znane są dobrze w powojennej działalności lotniczej.

* * *

Z takich lotniczych poczynañ wykształcili się lotnicy, którzy w czasie wojny bili się z wrogiem na wszystkich frontach. Do nich to można odnieść te kilka zwrotek, jakie Kazimierz Schleyen w swych *Lwowskich Gawędach* napisał:

Lwowiacy to orlęta harde,
Lwowiacy to niezłomna stal
Do walki żołnierzyki twarde
Z uśmiechem szli tak jak na bal.

Bo lwowskie orlęta
To tradycja święta
Za Lwów oddaliby pół życia snów
Za Lwów! Za Lwów!

„Orbis” urodził się też we Lwowie

Po odzyskaniu niepodległości i podpisaniu traktatu ryskiego w rekordowym tempie zorganizowano I Międzynarodowe Targi Wschodnie, które już jesienią 1921 odbyły się we Lwowie.

W tym też czasie, na przełomie 1920/21 roku, z inicjatywy kilku ludzi powstało we Lwowie biuro zajmujące się początkowo sprzedażą biletów kolejowych, rezerwacją noclegów itp. Biuro to mieściło się w skromnym lokalu przy ulicy Pańskiej (później nazwanej Piłsudskiego) w jednym z domów po lewej stronie tej ulicy, tuż za skrzyżowaniem z ulicą Piekarską. Numeru domu, niestety, nie pamiętam.

W związku z szybkim rozwojem działalności Biura w zakresie licznych usług związanych z komunikacją i turystyką zaistniała konieczność jego reorganizacji i odpowiedniego wsparcia finansowego, przeto u schyłku 1922 roku zostało ono przekształcone ze zwykłej spółki na spółkę z ograniczoną odpowiedzialnością (o.o.), pod nazwą „Orbis”. Równocześnie, stosownie do poszerzonych zadań, przedsiębiorstwo zostało odpowiednio rozbudowane, głównie dzięki organizacyjnej i finansowej pomocy ze strony lwowskiego Ziemskiego Banku Kredytowego.

Przedstawione fakty świadczą, że załączkiem „Orbisu” było Biuro założone w 1920 roku; datę tę należy przyjąć za początek działalności „Orbisu”. Osoby, które założyły Biuro należy uznać za założycieli (prazałożycieli) Orbisu. Jedną z tych osób był mój Ojciec — Jan Bułat, kierownik administracyjnego Komisariatu I Dzielnicy miasta Lwowa (zmarł w 1956 r. w Krakowie).

On też był inicjatorem kontaktów z Ziemskim Bankiem Kredytowym oraz przekształcenia Biura na spółkę z o.o. Pamiętam, jak pewnego dnia powiedział mi, że biuro zostało przekształcone i otrzymało nazwę „Orbis”, co wiąże się z określeniem *orbis — terrarum* — krąg ziemski.

W tym czasie pod kierunkiem i redakcją Ojca opracowana została książka informacyjna pt. *Handlowiec, Adreso-Skorowidz* zawierająca liczne informacje w zakresie administracyjnym i gospodarczym. Księga ta została wydana przez „Orbis” w 1923 roku. Na marginesie tej sprawy mogę dodać, że z upoważnienia Ojca zajmowałem się akwizycją ogłoszeń i reklam do tej książki. Dzięki temu jako młody człowiek po maturze i po wpisie na Wydział Prawa w lecie 1922 roku miałem możliwość po raz pierwszy zobaczyć Kraków i Warszawę.

Ojciec mój nie poprzestał jednak na tej pierwszej księdze informacyjnej. Po jej wydaniu przystąpił natychmiast do opracowania poszerzonego wydawnictwa, które pod jego naczelną redakcją zostało ukończone w 1927 roku jako Księga informacyjna królewskiego stołecznego miasta Lwowa i czterech południowo-wschodnich województw R.P.

Jak na owe czasy było to iście pionierskie dzieło. Księga ta, licząca ponad 1000 stron formatu wielkich encyklopedii, zawierała szczegółowe informacje w zakresie administracji, urzędów, przemysłu, rzemiosła, handlu, rolnictwa, wolnych zawodów itd. dotyczące Lwowa i wymienionych czterech województw. Szereg nazw, nazwisk, adresów itp. podano drobnym drukiem,

twz. *petitem*, co tym bardziej świadczy o wyjątkowo dużym zakresie informacji. Jeżeli przy tym uwzględni się, że wydawnictwo to nie miało żadnych poprzedników (poza książką dotyczącą tylko Lwowa), należy bez wątpienia uznać ogrom inwencji i pracy autora i jego współpracowników.

Egzemplarz książki, jak i poprzedniej, znajduje się w bibliotece Zakładu Narodowego im. Ossolińskich we Wrocławiu pod sygnaturą 404877^{II}. Na stronie tytułowej figuruje napis:

Księga Informacyjna król. stoł. m. Lwowa i czterech południowo-wschodnich województw Rzeczypospolitej Polskiej, a to Lwowskiego, Stanisławowskiego, Tarnopolskiego i Wołyńskiego. Wydawca: P.B.P. „Orbis” Ska z o.o. Lwów, ul. Jagiellońska 20/22. Opracował i zestawił Jan Bułat, kierownik miejskiego Komisariatu Dzielnicy I-ej we Lwowie. Rok wydania: 1927.

Należy przy tym dodać, że wydawnictwo zawiera też krótkie opisy historyczne, szczególnie dość wyczerpujący opis historyczny Lwowa; zawiera też ciekawe informacje o Targach Wschodnich i innych instytucjach, również wiele danych dotyczących P.B.P. „Orbis”. Indeksy i spisy w kilku wariantach ułatwiają odszukanie potrzebnych danych.

Na str. 52-b książki podana jest informacja, że P.B.P. „Orbis”, które stało się Ską. z o.o. w okresie 1922/23, wyłoniło się z Biura założonego w 1920 roku.

Na str. 346-b znajduje się informacja *Pięciolecie istnienia biura „Orbis”*, wyjaśniająca, że po początkowym istnieniu małego biura we Lwowie powstało 40 oddziałów lwowskiego biura w różnych miejscowościach w kraju. Biuro i jego oddziały zajmowały się stopniowo coraz szerszym zakresem spraw, jak sprzedaż biletów kolejowych w kraju i w podróżach zagranicznych, wydawanie materiałów informacyjnych, rozkładów jazdy, spisów hoteli, zdrojowisk, atrakcyjnych miejscowości, usługi w zakresie wiz, ubezpieczeń, pośrednictwo w nabywaniu biletów okrętowych, samolotowych itd.

Oprócz tych działów „Orbis” zajmował się w latach przedwojennych również reklamą w różnej formie, wydawaniem dwóch tygodników: „Lwów” i „Warszawa”, wydawaniem komunikatów itp. Na uwagę zasługuje, że „Orbis” w swoim czasie zainteresował się wynalazkiem świetlnych aparatów reklamowych, które dzięki jego poparciu były wystawiane na Targach Wschodnich we Lwowie, a później na targach lub na wystawie w Wiedniu.

W 1926 roku biuro weszło w skład Związku Wielkich Krajowych Biur Podróży (13 państw europejskich wymienionych w Księdze Informacyjnej) — w skrócie AGTU.

Żałuję tylko, że nie pamiętam nazwisk owych dwóch czy trzech przyjaciół mojego Ojca, którzy w roku 1920, gdy tylko ustała wojna, założyli owo biuro przy ulicy Pańskiej we Lwowie, które z biegiem lat urosło do potentata znanego dziś w świecie.

Gdy w 1973 r. pojawiły się w prasie wzmianki o 50 latach „Orbisu”, napisałem do jego dyrekcji w Warszawie kilka uwag. Niestety, nie otrzymałem żadnej odpowiedzi.

Moje szkolne lata — Lwów 1926-1939

Przychodzą w życiu chwile, że ze szczególnym sentymentem zaczynamy wspominać dawno minione czasy dzieciństwa i młodości i ludzi z tym okresem związanych, którzy w jakiś szczególny sposób utkwiły w naszej pamięci. Do nich należą przede wszystkim nauczyciele, którzy zostawili niezatarte wspomnienia w pamięci dziecka, jakim byłam, gdy podążałam codziennie z kamienicy na rogu ul. St. Batorego i św. Szymona we Lwowie do szkoły im. A. Mickiewicza przy ul. Rutowskiego. Droga to była niedaleka, ale jakże ciekawa. Plac Halicki, pomnik A. Mickiewicza, Katedra, kościół oo Jezuitów i wreszcie muzeum im. Dzieduszyckich, gdzie przez ciężką okutą bramę można było zawsze wejść do mrocznej sieni, w której stał olbrzymi wypchany żubr. I już szkoła, najpierw męska, i przylegająca do niej żeńska. Tu spędziłam 7 lat i stąd wyniosłam wdzięczne wspomnienie ludzi, którym nigdy nie zdażyłam podziękować, a może i nie umiałam wtedy tego zrobić. Czynię to niniejszym.

A więc w pierwszym rzędzie pani Helena Baygerówna, wychowawczyni mojej klasy. Ona to pierwsza wprowadziła mnie w cudowny świat bajek, rozbudzając wyobraźnię i zamiłowanie do książek. Pamiętam, jak z drżeniem serca oczekiwałyśmy jej przyścia do klasy ze stosem książek, z których najciekawsze dostawały się uczennicom zdolnym i pilnym. Naturalnie były to tylko „pożyczki”. Książki się szanowało, gdyż były bardzo drogie i mało kto mógł sobie na nie pozwolić.

Jak patriotyczne było nasze wychowanie, świadczy o tym fakt, że już w III klasie szkoły powszechnej p. Baygerówna założyła Koło Filomatów i Filaretów z własnym statutem, na którego pierwszej stronie widniało hasło „Ojczyzna, nauka i cnota”, a oznaką przynależności do Koła była rozeta z białej i czerwonej wstążki, noszona przez nas z dumą na białych bluzeczkach mundurka w dni świąt narodowych. Pamiętam również Jej Ojca, pana Baygera, noszącego się z „waszecia”, w długiej czamarze, w butach z cholewami i wpuszczonymi weń spodniami, w zielonym kapelusiku, odwiedzającego od czasu do czasu naszą szkołę i przynoszącego dla niej swoje rozliczne trofea w postaci słoików z zakonserwowanymi w nich okazami zaskrońców, jaszczurek i przeróżnych gadów. Była to postać żywcem przeniesiona ze starszalszego dworu, o twarzy ozdobionej życzliwym uśmiechem.

Drugie miejsce w moim sercu bezsprzecznie zajęła pani Kulczycka-Cepnikowa, nauczycielka śpiewu, które to lekcje do czasu Jej przyścia do naszej szkoły były traktowane po macoszemu. Ona to rozbudziła w naszych młodych sercach zamiłowanie do śpiewu, które przetrwało u mnie do dziś. Stworzyła w krótkim czasie stojący na wysokim poziomie chór, szybko wyławiając spośród nas bardziej uzdolnione muzycznie dziewczęta i przelewając w nie swój zapal i talent interpretacyjny. Chór był 3-głosowy, a śpie-

wałyśmy nie byle jakie pieśni — przeważnie patriotyczne — na uświetnienie akademii (a było ich bez liku). Najbardziej utkwiły mi w pamięci *Wyleć, wyleć orle młody, ponad ziemię, ponad wody i Grzmia huczne dzwony u Kremla szczytu, car świętej słucha Ofiary, a u wyniosłych cerkwi sufitów chwieją się polskie sztandary*.

Każda akademii uświetniona była naszymi występami, a już prawdziwe wzruszenie i łzy u wielu obecnych, a nawet u naszego księdza katechety wywołała w rocznicę 22 listopada recytacja wiersza o Jurku Bitschanie *O mamo, otrzyj oczy*, kiedy chór śpiewał tę pieśń, a 10-letnie „Orle” w za dużej maciejówce, opadającej na oczy z prawdziwym karabinem żarliwie i z przejęciem zębało Matkę, Polskę i Lwów, by w końcu — staniając się — paść na ziemię.

Wracając jeszcze do osoby pani Kulczyckiej, podziwialiśmy ją nie tylko za jej zdolności muzyczne i umiejętność panowania nad nami bez uciekania się do krzyku czy stukania pałeczką, ale również Jej młodość i uroda, aksamitne czarne oczy i alabastrowa cera z pięknymi rumieńcami przykuwały naszą uwagę.

Trzecią postacią, równie mocno zakorzenioną w mojej pamięci jest osoba dyrektorki szkoły, pani Marii Łapickiej, o złotorudych włosach, energicznej i postawnej, budzącej nasz podziw Krzyżem *Virtuti Militari* za udział w obronie Lwowa, noszonym przez nią na wszystkich akademiach szkolnych. W ramach dożywiania szkolnego dla najuboższych uczennic własnoręcznie parzyła herbatę w tzw. pokoju konferencyjnym (a była to herbata znakomita — jej aromat pamiętam do dziś), uzupełniała kubki śmietanką i serwowała je własnoręcznie przy dużym stole, poświęcając na to dużą przerwę. O ile pamiętam korzystały z tego poczęstunku przeważnie katoliczki — nie zawsze najbiedniejsze, ale stanowiące mniejszość, bo Żydówki mieszkające w centrum Lwowa należały raczej do sfery bogatszej, przeważnie kupieckiej.

Ten 7-letni pobyt w szkole, gdzie stałe panował duch patriotyzmu, gdzie odbywały się próby recytacji, chóru, przedstawień, a wszystko z okazji rocznic i świąt narodowych, zostawiły niezatarte piętno w mojej duszy, gdyż we wszystkich tych imprezach brałam czynny udział.

Dopełnieniem tego stało się zapisanie mnie i paru jeszcze uczennic w klasie VII do międzyszkolnej drużyny harcerskiej im. Waleriana Łukasińskiego, której izba mieściła się przy ul. Łozińskiego, a do której zwerbowała nas drużna Kazia Jagniewska, bestialsko zamordowana przez bolszewików w 1939 r. Krótki był mój pobyt w tej drużynie, gdyż po ukończeniu szkoły powszechnej i zdaniu egzaminu do państwowego gimnazjum im. Adama Asnyka przy ul. ss. Sakramentek (w gmachu dotychczasowego seminarium nauczycielskiego), przejęta ideą har-

cerstwa, wstąpiłam do VII drużyny przy tym gimnazjum.

Tu drużynową była Lilka Smagłowska, niegdyś seminarzystka, a potem nauczycielka w którejś ze szkół powszechnych we Lwowie, ciesząca się wśród nas ogromną popularnością i autorytetem. Była to postać nietuzinkowa, pełna werwy, humoru i temperamentu, rozśpiewana i roztańczona, a gdy trzeba było, umiejąca nas besztać i stawiać do raportu za brak guzika przy mundurze czy krzywo przyszyty herb. Bałyśmy się jej jak ognia, a jednocześnie ubóstwialiśmy. Jej to energii, zamięłowaniu do tańca i śpiewu zawdzięczaliśmy wyjazd do Rumunii na miesięczny obóz jako reprezentacyjna drużyna śpiewająco-taneczna. Lilka nie była może ładna, ale miała w sobie to coś, co zjednywało jej serca i otwierało wszystkie drzwi. Nic też dziwnego, że wszystko umiała załatwić. Tak więc po przygotowaniu paru ludowych tańców, popisowych pieśni, wypożyczeniu z teatru lwowskiego strojów do mazura, ruszyliśmy w lipcu 37 r. poprzez Czerniowce do Konstancy i Mamai nad Morze Czarne, a potem dalej. Dzięki talentom Lilki, jej uśmiechom rozdawanym gdzie trzeba było, zwiedziłyśmy nie tylko Rumunię, ale przez Bułgarię ruszyliśmy do Konstantynopola, a nawet na drugi brzeg cieśniny Bosfor — do Adampola. A wszystko to przy niewielkich zasobach finansowych. Chyba również druhnie Lilce zawdzięczaliśmy to, że będąc doskonale wymusztrowane i rozśpiewane znalazłyśmy się na Dworcu Głównym we Lwowie podczas przejazdu króla rumuńskiego Karola i jego syna Michała i do nas to odnosiły się jego słowa „Jakie piękne są polskie dziewczęta...” kiedy szedł peronem, salutując nam.

Z chwilą ukończenia 4 klasy gimnazjum, czyli uzyskania tzw. małej matury i przejścia do liceum pedagogicznego, mieszczącego się w tym samym gmachu, skończył się beztróski okres podchodów, ćwiczeń poza miastem, łazęg i wycieczek po okolicach Lwowa z nieodłącznym, olbrzymim czajnikiem, niesionym na długim kiju przez całe miasto, a osmalo-

nym od dymu tylu ognisk. I skończył się okres śpiewania chóralnego, zaczynanego przez Lilkę wszędzie i o każdej porze, czy to na ulicy, czy na dworcach, a przyjmowanego przez zawsze życzliwych nam przechodniów oklaskami. Byłam już w drużynie starszoharcerskiej, prowadzonej przez kogo innego, przygotowującej nas do objęcia funkcji zastępowych i drużynowych, tak potrzebnych w przyszłej pracy nauczycielskiej.

Przełożoną naszą była pani Jadwiga Włodek-Sanojcowa i Jej to osobie chciałabym poświęcić słów parę. Była kobietą wysoką, zgrabną, o regularnych, szlachetnych rysach twarzy i niezwykle bujnych, ale siwych włosach, upiętych na karku w węzeł. Samą postawą wzbudzała szacunek, czuło się w niej osobowość silną, niezależną. Wykładała „Zagadnienia życia współczesnego”, a w wykłady te wkładała całą swą pasję życiową, jaką była dla niej m.in. dola ludu polskiego, przyczyny tzw. nędzy galicyjskiej i wiele innych bolesnych zagadnień, jakie nurtowały ówczesne polskie społeczeństwo. Chciała nas zarażać tą swoją ideowością, uczulić nasze sumienia, sumienia przyszłych nauczycielek, idących na polską, a może i polsko-ukraińską wieś. Trzeba przyznać, że fascynowała nas i wiele spośród nas marzyło już o tym, że będą „Judymami” na polskiej wsi. — Chcąc nam pokazać, jak może wyglądać taka praca, wspólnie z mężem, majorem Antonim Sanojcą, zorganizowała nam wycieczkę do Gaci Przeworskiej, gdzie małżonkowie Solarzowie, prowadzący tam Uniwersytet Ludowy, zapoznali nas z metodami pracy. Niestety, po roku pracy z nami, pani Włodek-Sanojcowa odeszła z naszego liceum. Za rok wybuchła wojna, która obróciła wniwecz wszystkie nasze szczytne zamiary; zawałił się wtedy dla nas cały świat. Pani Włodek-Sanojcowa, wspólnie z mężem Antonim Sanojcą działała cały czas w konspiracji, była oficerem AK. Zmarła w wieku 81 lat, została pochowana na cmentarzu na Powązkach. Pogrzeb Jej zgromadził tłumy ludzi. Świadczyło to o tym, jak była szanowana, znana i ceniona za swoją ofiarność i dzielność, zarówno przed, jak i w czasie wojny.

TADEUSZ RIEDL

Wieczory lwowskie we Wrocławiu (1971-1974)

Inicjatywa organizowania spotkań zwanych „Wieczorami Lwowskimi” zrodziła się pod wpływem dwukrotnego odwiedzenia Lwowa przez autora w latach 1969 i 1971. Początkowo celem tych spotkań była prezentacja przedwojennego piśmiennictwa dotyczącego Lwowa oraz opracowań ukazujących się po roku 1945, głównie w formie literackich wspomnień, jak również przypomnienie topografii miasta, usytuowania jego ulic, zabytków, dawnych instytucji, obiektów handlowych, terenów zielonych. Wymieniony cel był łatwy do zrealizowania dzięki obszer- nemu lwowskiemu księgozbiorowi oraz dzięki cieszącemu się szczególnym zainteresowaniem bogatemu zbiorowi przezroczy. Zbiór ten powstał na początku lat siedemdziesiątych i składał się z ponad tysiąca

kolorowych przezroczy. Były one wykonane we Lwowie i przedstawiały nie tylko panoramę miasta, kompletne ciągi ulic, zabytki budownictwa i architektury, obiekty użyteczności publicznej, zachowane w mieście polskojęzyczne napisy, zielen miejską, cmentarze, ale także obiekty o charakterze represyjno-martyrologicznym, jak np. więzienie „Łąckiego”, „Brygidki”, gmachy użytkowane przez NKWD.

Dość szybko spotkania wzbogaciły się o gawędy i relacje uczestników na temat ich lwowskich przeżyć. Na jednym z pierwszych „Wieczorków” zebrani mieli możliwość podziwiać dwie serie przezroczy o tematyce historycznej autorstwa dra Zdzisława Ojzyńskiego poświęcone Cmentarzowi Obrońców Lwowa i prze-

niesieniu zwłok Nieznanego Żołnierza ze Lwowa do Warszawy w 1925 r.

Wszystkie spotkania miały swobodny, towarzyski charakter. Ich tłem muzycznym były lwowskie piosenki odtwarzane z taśm magnetofonowych, zarówno ogólnie znane przedwojenne, jak i nowe, powstałe na emigracji, np. *Pytał mnie się jeden kaban*. Wszystkie te nagrania skompletował dr Adam Baron i liczne ich kopie rozpowszechnił wśród zainteresowanych. Już od 1973 r. korzystano z nagrania audycji „Kariera pana Frajera”, a więc 15 lat przed odtworzeniem jej w Polskim Radiu w 1988 r. Nagranie to uzyskał i udostępnił mgr Jerzy Petryński.

34 „Wieczory”, odbyły się w ciągu 34 miesięcy od 30 VI 1971 do 31 IV 1974. Odtworzenie ich historii nie przedstawia trudności dzięki istnieniu dziś już pamiątkowych list obecności podpisywanych własnoręcznie przez każdego z obecnych. Biorący udział w „Wieczorze” po raz pierwszy wpisywał równocześnie swój przedwojenny adres we Lwowie i ewentualnie lwowski numer telefonu. Na wspomnianych listach odnotowywano ponadto datę z godziną rozpoczęcia i miejsce realizacji „Wieczoru”. 14 z nich odbyło się w dawnym mieszkaniu autora (we Wrocławiu przy ul. Powstańców Śl. 165 m 6), który był też jedynym uczestnikiem wszystkich „Wieczorów”. Na pierwszym z nich (30 VI 1971) oprócz wymienionego i jego żony byli obecni mgr Nina Sowińska i mgr inż. Stanisław Kowalczykowski.

7 razy spotkano się u dra Adama Barona, który listę obecności podpisywał ulubionym pseudonimem



„Antoni Bambetel”, niekiedy zresztą, aby nie było wątpliwości o kogo chodzi, stemplując podpis swoją urzędową pieczęcią adiunkta I Kliniki Położnictwa i Chorób Kobietych AM we Wrocławiu. „Wieczory” organizował w pełnym uroku pomieszczeniu piwnicznym zwanym „Piwnicą pod Baronami” (ówczesna ul. Armii Radzieckiej 29), urządzonej bardzo funkcjonalnie mimo nagromadzenia wręcz nieprawdopodobnej ilości najrozmaitszych staroci, z okazałych rozmiarów wizerunkiem Franciszka Józefa I i zbiorom oryginalnych etykiet Baczewskiego, tworzącym duże tableau.

Pozostałe „Wieczory” zorganizowali: dyr. Zdzisław Niewiadomski, senior wśród uczestników – Włady-



Od lewej: p.p. Jerzy Petryński, Władysław Georgeon i autor artykułu

śław Georgeon i mgr Zdzisław Kliś oraz doc. dr Maria Goos, mec. Kazimierz Graliński, mgr inż. Stanisław Masior, dr Zdzisław Ojrzynski, dr Edward Riess i Halina Skutowa.

Frekwencja kształtowała się rozmaicie, od kilku do 20 osób. Pełny wykaz uczestników obejmuje 62 nazwiska. Byli to ludzie rozmaitych zawodów; najstarsi tworzyli w pewnym zakresie historię Lwowa w ostatnich latach jego przynależności do Rzeczypospolitej, młodszy zapisali się w wielu przypadkach jako ludzie wybitni w społeczności Wrocławia. Z braku miejsca nie jest możliwe wymienienie tu wszystkich nazwisk. Trzon uczestników stanowili zwykle lekarze I Kliniki Położnictwa i Chorób Kobietych AM, bowiem oprócz wspomnianych już dra Barona i dra Riessa na listach obecności widnieją podpisy dra Stanisława Krzaklewskiego, dra Zbigniewa Rzucidły i doc. dra Adama Żółcińskiego. Jednak najczęściej brali udział wymienieni poprzednio Władysław Georgeon, Zdzisław Niewiadomski, Adam Baron, Zdzisław Kliś, Edward Riess oraz Stanisław Masior i Zdzisław Ojrzynski. W niektórych „Wieczorach” uczestniczyli ponadto: doc. dr Maria Demianowska, doc. dr Maria Goos, solistka Opery Wrocławskiej Ludwika Kaczkowska z mężem Leszkiem, Halina Skutowa, mgr inż. Krystyna Strożecka, dr Grzegorz Agopsowicz, red. Tadeusz Banaś, doc. dr Tomasz Cieszyński, doc. dr Witold Czerwiński, dr Władysław Dobrzęcki, prof. dr Adam Goos, mec. Kazimierz Graliński, sędzia mgr Stanisław Koszil, mgr inż. Stanisław Kowalczykowski, dr Adolf Kozaczek, prof. dr Józef Oberc, ppłk lek. wet. Julian Pączek, mgr Jerzy Petryński z żoną Ludwiką, dr Stanisław Teppa. Kilkakrotnie przyjeżdżali spoza Wrocławia: dr Andrzej Pawłowski (Chojnów), doc. dr Władysław Riedl (Warszawa) i 26 II 1972 doc. dr Andrzej Szczeklik (Kraków).

Organizatorzy „Wieczorów” zapewniali oprawę gastronomiczną, serwując nieraz nader wyszukane dania, obok tradycyjnych, wśród których uznanie wzbudzały niezmiennie lwowskie pierogi. Przygotowaniem szczególnie wyszukanych dań o niepowtarzalnych walorach smakowych wślawiła się Halina Skutowa – absolwentka Szkoły Gospodarczej w Snopkowie. Z atrakcyjnego menu słynęła też



Od lewej: Jerzy Petryński, Władysław Georgeon
i autor artykułu z żoną Celiną
Z tyłu stoją: pp. Zdzisław Kliś Zdzisław Niewiadomski

„Piwnica pod Baronami”, bowiem zawsze podawana była specjalnie przyprawiona „Kielbasa à la Baron” oraz herbata ze starego samowara na węgiel drzewny. Pewien dom znany był natomiast z wysokiej klasy żubrówki.

Dłuższy wyjazd zagraniczny autora spowodował zakończenie cyklu 34 comiesięcznych „Wieczorów”. Po trzech miesiącach, 27 VI 1974 r. spotkano się jeszcze raz w pełnym składzie u Władysława Georgeona (ul. Gierymskich 81), skąd uzyskano połączenie telefoniczne z Paryżem, gdzie przebywał piszący te słowa. Po dłuższej przerwie należy jeszcze odnotować cztery dalsze spotkania. 25 X 1975 r. przybyli m.in. Władysław Georgeon, prof. dr Adam Goos, mgr Zdzisław Kliś, dr Zdzisław Ojrzyski, doc. dr inż. Witold Szolginia. W pamięci zebranych pozostały recytowane przez doc. Szolginie jego własne, dziś już słynne wiersze lwowskie oraz wspomnienia o pierwszych ponurych dniach po opuszczeniu Lwowa. Póź-

niej, na początku lat osiemdziesiątych odbyły się ostatnie spotkania z udziałem dra Stanisława Krzaklewskiego i prof. dra Kazimierza Nowosada.

Od 34 „Wieczoru”, będącego ostatnim w serii regularnych comiesięcznych spotkań, minęło 20 lat. Przerzedziły się szeregi ich uczestników. Oto bowiem nie doczekawszy III Rzeczypospolitej odeszli na zawsze śp. śp. dr Grzegorz Agopsowicz, dr Adam Baron, doc. dr Maria Demianowska, dr Władysław Dobrzycki, Władysław Georgeon, prof. dr Adam Goos, Leszek Kaczkowski, red. Kazimierz Koszutski, dr Adolf Kozaczek, Cecylia i Zdzisław Niewiadomscy, dr Edward Riess, dr Zbigniew Rzucidło, Jadwiga Strożecka, dr Stanisław Teppa. W ostatnim okresie przeszli też do wieczności śp. śp. Tadeusz Banaś i prof. dr Władysław Riedl. Kilka przezroczy i fotografii wykonanych podczas niektórych „Wieczorów” może przypomnieć tych wspaniałych ludzi, którzy odeszli...

ANTONI KORAB

Poeta z Pelczyńskiej

Tęsknota za utraconym miastem inspirowała i nadal inspiruje do twórczej działalności poetów, pisarzy, artystów. Powstają książki, wiersze i pieśni o Mieście Semper Fidelis.

Oprócz wielkich nazwisk, jak Wierzyński, Makuszyński, Kaden Bandrowski, Hemar, Ref-Ren, Zbierzchowski i wielu innych, są również mniej znani, o których nie powinno się zapomnieć.

Do tych właśnie należy poeta z ulicy Pelczyńskiej Adam Baron. Urodził się we Lwowie 26 IX 1924 r. Ojciec jego Benedykt, lekarz, major rez. został zamordowany w Wilnie w czasie ostatniej wojny. Świadcstwo dojrzałości Adam Baron uzyskał na kompletach w 1942 r. Od pierwszych dni stycznia 1943 r. był żołnierzem Armii Krajowej (w oficjalnych życiorysach w II Obw. AL — pododz. BCh) w lasach lubelskich. W cieniu walk partyzanckich pisze swe pierwsze utwory poetyckie. Jako inwalida wojenny zostaje zdemobilizowany z Wojska Polskiego w lutym 1948 r. W tymże roku rozpoczyna studia na Wydziale Lekarskim Uniwersytetu Wrocławskiego. Po ukończeniu studiów pracuje w Klinice Ginekologicznej AM we Wrocławiu, kierowanej przez lwowia-



dr Adam Baron

nina prof. dra Kazimierza Nowosada. „Lwowski klimat” w klinice sprzyja jego pasji, jaką jest poezja. Spod jego pióra pochodzą wiersze i liryki pełne miłości i tęsknoty. Píše również skrzące dowcipem *Szopki Kaziowe*, pełne żaru erotyki, no i oczywiście wiersze o największej jego miłości — o Lwowie. Współpracował też z Polskim Radiem we Wrocławiu, będąc autorem słuchowisk i audycji satyrycznych. Był również współtwórcą wrocławskiego Teatru Pantomimy, a w latach 1956 -1965 jego kierownikiem

literackim. Adam był wielkim społecznikiem, humanistą i doskonałym organizatorem. Między innymi był dożywotnim prezydentem założonej przez niego Światowej Unii Pisarzy-Lekarzy w Lugano w Szwajcarii.

Po długotrwałej chorobie Adam Baron — lwowski Sodalis Marianus — zmarł we Wrocławiu 17 marca 1977 r.

Adam Baron

Znasz Ty ten Lwów

*Znasz ty ten Lwów, gdzie Kopca wzniosłe czoło
I siedem wzgórz zieleni miasto wkoło,
Gdzie topól rząd ulicę główną stroi,
A w wieńcu lamp Maryja Panna stoi.*

*Znasz ty ten Lwów
Porzucić los Go zmusza,
Ach bywaj zdrów, ach bywaj zdrów
Zostanie tu ma dusza.*

*Znasz Rynek swój, gdzie każda tu fasada
I każdy wnek o swej przeszłości gada...
Gdzie każdy bruk — kamieniem każdym szepce,
Ach, kiedy znów mnie polska stopa zdepcze.*

*Opuszczasz Lwów!
Ach, serce z żalu pęka,
Kamienie te i mury Twe
Całować dusza klęka.*

*Znasz cmentarz ten — tam, kędy las krzyżyków
Bieleją wkrąg mogiły Żołnierzyków,
A każdy grób z westchnieniem dookoła
„Jam bronił Cię” z wyrzutem cichym woła...*

*Opuszczasz Lwów!
Ach, myśl się rwie z rozpacz,
Ach, kiedyż znów, ach kiedyż znów
Ujrzyć Go Bóg przeznaczy...*

*Łąckiego znasz... Peltewną znasz ulicę...
Strzelecki Plac skrwawionym skarpem krzyczy,
Ormiańską znasz... ach, kto ofiary zliczy
I Twoją krwią zbryzgano kamienice.*

*Opuszczasz Lwów!
Świeżą krwią Twą użyżniony!
Powrócisz znów! — Nie Ty, Twój syn, Twój wnuk
Z twej krwi zrodzony.*

Lwów, maj 1946 r.

Lwowska Szkoła Geodezyjna

Na to, aby można było mówić o szkole w jakiejś dziedzinie wiedzy muszą istnieć uczeni, których oprócz cech kreatywnych wyróżnia umiejętność przekazywania nowych metod i wyników uczniom, co jest warunkiem upowszechnienia nowych rozwiązań. Ale i to jeszcze nie wystarcza. Daną szkołę charakteryzować musi pewien szczególny zespół cech. Lwowską Szkołę Geodezyjną, istniejącą w okresie 1919-1941, wyróżniały: otwartość na zachodnio- i środkowoeuropejskie modele kształcenia, racjonalizm wyrażający się w dostosowaniu treści nauczania i przedmiotu badań do aktualnych potrzeb kraju, wysoki stopień świadomości narodowej u profesorów i studentów, łącząca ich wysoka etyka zawodowa, wreszcie – pozazawodowe zainteresowania: polityczne, artystyczne, sportowe.

Trzon otwartego w roku akademickim 1919/20 na Politechnice Lwowskiej Oddziału Mierniczego stanowił zespół trzech katedr geodezyjnych, których kierownikami byli profesorowie: Lucjan Grabowski, Kasper Weigel i Władysław Wojtan. Reprezentowali różne typy osobowości i rozwijali swą aktywność w różnych kierunkach, może w tym właśnie upatrywać trzeba wartości dzieła, które stworzyli wspólnie, a które dziś, z perspektywy ponad pięćdziesięciu lat, bez zastrzeżeń można nazwać Lwowską Szkołą Geodezyjną.

Korzenie Szkoły sięgają początków XIX wieku. Już od 1808 roku w lwowskim liceum typu szkoły wyższej nauczał geometrii praktycznej Austriak z pochodzenia, matematyk Jan Holfeld (1747-1814), który w roku 1796 przeprowadził triangulację zachodniej Galicji. Po śmierci Holfelda wykłady przejął Czech Franciszek Kodesz (1761-1831), również matematyk. Po powtórnej fundacji Uniwersytetu Lwowskiego, od roku 1817 geodezję jako przedmiot nadobowiązkowy wykładano na uniwersytecie. Od roku 1825 w ramach „Freie Studien” wyodrębniona została grupa przedmiotów, których zaliczenie upoważniało kilku rocznie studentów wydziału filozoficznego do wykonywania zawodu „geometrii”. Połączoną Katedrę Matematyki i Geometrii Praktycznej prowadził w latach 1834-1838 wybitny matematyk austriacki Leopold von Straschnitzky (1813-1852), a następnie przybyły z Wiednia Czech Ignacy Lemoch (1802-1875).

Gdy w związku z utworzeniem Akademii Technicznej przeniesiono od roku 1844 wykłady geometrii praktycznej z uniwersytetu, grono profesorskie rozpoczęło starania w wiedeńskim ministerstwie oświaty o uzyskanie zgody na otwarcie trzyletnich studiów mierniczych. W roku 1852 uzyskano zgodę jedynie na zwiększenie wymiaru godzin nauczania geodezji. W latach 1871-1876 przeprowadzono reorganizację uczelni według wzoru szwajcarsko-niemieckiego: wyodrębniono wydziały i kierunki studiów technicznych. W roku 1871 utworzona została Katedra Zwyczajna Geodezji i Astronomii, której kierownictwo powierzono Polakowi profesorowi Dominikowi Zbrożkowi (1832-1889). Był on wychowankiem lwowskiej akademii, ale studia uzupełniał w Wiedniu i Pradze, gdzie od

roku 1867 był asystentem w Katedrze Geodezji. Rozpoczął polską linię geodetów w lwowskiej Akademii Technicznej; jego uczeń Seweryn Widt (1862-1912) po uzyskaniu docentury w Wyższej Szkole Lasowej został kierownikiem utworzonej w roku 1894 Katedry Miernictwa. Wspaniałe wykłady profesora Widta przyczyniły się do popularyzacji geodezji w środowisku technicznym, niestety ciężka choroba przerwała jego działalność dydaktyczną i naukową. W roku 1895 utworzona została druga katedra geodezyjna: Katedra Geodezji Wyższej. Kierownikiem katedry został Czech Wacław Laska (1862-1943), docent geodezji wyższej w praskiej politechnice. W roku 1897 Laska uzyskał habilitację w zakresie astronomii na Uniwersytecie Lwowskim.

Trzyletnie starania grona profesorskiego o zorganizowanie we Lwowie studiów geodezyjnych nie zostały uwieńczone sukcesem. Ministerstwo Oświaty zezwoliło jedynie na otwarcie w Akademii Technicznej dwuletniego Kursu Geometrów jako specjalizacji przy Wydziale Inżynierii. Lwów uzyskał prawo otwarcia studium z dniem 1 października 1896 roku, „pierwszy na wszystkich politechnikach w Austrii”. Mimo przedstawionego w ministerstwie memoriału w sprawie rozszerzenia kursu do pełnych studiów akademickich jeszcze w roku 1906, władze utrzymały go w formie dwuletniego studium zawodowego i, aż do roku 1919, było to jedyne w kraju geodezyjne studium półwyższe. Ogólna liczba absolwentów kursów wynosi 405 osób. W trudnych, trwających 23 lata podzaborowych i wojennych warunkach, w jakich działali profesorowie i studiujący na kursach geodeci, wykształcił się zespół wymienionych wcześniej cech Szkoły Lwowskiej, a przede wszystkim najgłębiej rozumiany patriotyzm. Cechowała go odwaga, a w warunkach wojny nawet bohaterstwo, połączone ze świadomym kształtowaniem, etap po etapie, europejskiego standardu nauki polskiej.

Po odzyskaniu niepodległości nie było w Polsce pełnych studiów akademickich w zakresie geodezji. Wieloletnie starania uczonych lwowskich i przygotowany w czasie wojny program studiów umożliwiły przekształcenie Kursu Geometrów w trzy, a od roku 1929 czteroletnie studia akademickie.

Otwarcie w roku akademickim 1919/20 trzyletnich studiów geodezyjnych na Politechnice Lwowskiej można przyjąć za początek działania Lwowskiej Szkoły Geodezyjnej. Tworzyły ją zespoły trzech katedr, z których dwie istniały wcześniej: Katedra Astronomii Sferycznej i Geodezji Wyższej, kierowana przez profesora Grabowskiego, i Miernictwa – kierowana przez Weigla. Utworzono Katedrę Miernictwa II i jej kierownictwo powierzono profesorowi Wojtanowi.

Profesor Lucjan Grabowski (1871-1941) reprezentował klasyczny typ uczonego. Był wszechstronnie wykształcony. Po studiach astronomicznych na Uniwersytecie Jagiellońskim studiował fizykę w Bonn i Monachium, geodezję w Stuttgarcie i Poczdamie

i oraz specjalne działy astronomii w Pułkowie pod Moskwą. Władał siedmioma językami, pięknie grał na fortepianie, szczególnie muzykę Chopina. Nie założył rodziny, całe swe życie wypełniając nauką. Mimo słabego zdrowia zostawił ogromny dorobek naukowy i organizacyjny. Za najważniejsze dokonanie profesora Grabowskiego uznać dziś trzeba nie całokształt prac teoretycznych związanych głównie z geodezją dynamiczną, ale zorganizowanie we Lwowie działającej nieprzerwanie od 1919 do 1939 roku regularnej służby czasu, ciągłej służby sejsmicznej i stałej – meteorologicznej. Wydawał periodyki, w których publikował wyniki obserwacji, przesyłał je do 70 instytutów geofizycznych, sprawił włączenie stacji „Lwów” do światowej sieci obserwacyjnej, była to jedyna stacja na obszarze całego kraju. W roku 1925 profesor został członkiem Międzynarodowej Unii Astronomicznej. Uczestnictwo w pracach o wymiarze międzynarodowym nie oznaczało braku zainteresowania tematyką aktualnie dla kraju ważną. W odpowiedzi na ankietę dotyczącą wyboru odwzorowania map polskich profesor Grabowski opracował wariant odwzorowania Roussilhe’a, przystosowany do warunków Polski, do którego szereg tabel przygotował młodszy współpracownik profesora Walenty Szpunar. Sam profesor, w roku 1925/26 dokonał precyzyjnego wyznaczenia długości geograficznej Lwowa, powierzając wyznaczenie szerokości adiunktowi dr Ryznerowi w roku 1928/29. Dwukrotnie przeżył profesor Grabowski utratę cennego instrumentarium. Pierwszy raz stało się to w czasie I wojny, gdy zaginęło w Rosji, dokąd zostało wywiezione w związku z planowaną ekspedycją na całkowite zaćmienie słoneczne. Druga wojna okazała się jeszcze okrutniejsza: część instrumentarium spłonęła w maju 1941 roku, reszta została bezmyślnie rozkradzona po zajęciu Lwowa przez Niemców. Przypłacił to profesor załamaniem sił życiowych. Zmarł 24 października 1941 roku.

Profesor Kasper Weigel (1880-1941) był wychowankiem Politechniki Lwowskiej. Jego karierę naukową poprzedzał okres zawodowej pracy inżynierskiej. Studiował w okresie twardych, historycznie uwarunkowanych realiów walki w sejmie i władzach o prawa zawodowe, ochronę tytułu itp. co pozwoliło mu wykształcić umiejętność powiązania teorii z praktyką. Zaznaczało się to zarówno w pracy naukowej, jak i dydaktyce, stając się charakterystyczną cechą Szkoły Lwowskiej. W czasie I wojny, w ramach założonego w 1915 roku Komitetu Techników Polskich, w Wiedniu kontynuował działalność dydaktyczną dla studentów nie uczestniczących bezpośrednio w działaniach wojennych. Zainteresowania naukowe profesora skupiły się na rachunku wyrównawczym, ze szczególnym uwzględnieniem sieci geodezyjnych: światowych, krajowych i lokalnych. Był entuzjastą fotogrametrii, organizatorem w latach 1928-1931 kursów fotografii lotniczej dla delegowanych oficerów WP, uczestniczył w fotogrametrycznym zdjęciu Tatr Wysokich (1924-1927). Reprezentował typ uczonego-światowca, zaangażowanego we wszystkie niemal przejawy życia kraju, miasta, szkoły, w sprawy środowiska zawodowego, studenckiego. Pełnił wiele zaszczytnych funkcji. Był szefem sekcji miernictwa

w Ministerstwie Robót Publicznych (1919), prezesem sekcji Komitetu Geo. PAU, prezesem Polskiego Towarzystwa Fotogrametrycznego, rektorem Politechniki Lwowskiej, ale i kuratorem chóru, i wiceprezesem Towarzystwa Literackiego, czynnym w wielu akcjach organizowanych przez organizacje studenckie, przedstawicielem grona profesorskiego, doradcą i opiekunem. Dobrą charakterystyką tej niezwyklej postaci może być następujący cytat: „the geodesist well known abroad, a man who took particular interest in the students and was curator of the technicians choir” zamieszczony w wydany w stulecie Politechniki Lwowskiej w Londynie wydawnictwie. Profesor Weigel zginął, wraz z jedynym swym synem, zamordowany na Wzgórzach Wóleckich we Lwowie w nocy z 3 na 4 lipca 1941 roku.

Trzecią z głównych postaci Lwowskiej Szkoły Geodezyjnej był profesor Władysław Wojtan (1876-1936). Podobnie jak profesor Weigel, ukończył Wydział Inżynierii Politechniki Lwowskiej. Działalność naukową jeszcze bardziej niż profesor Weigel podporządkował potrzebom kraju. Jego dzieło ocenić dziś można jako podniesienie świadomości środowiska technicznego w zakresie języka zawodowego, jego źródeł i funkcji. Autorstwo opublikowanej *Historii bibliografii słownictwa technicznego polskiego od czasów najdawniejszych do końca 1932 roku* i rękopisu *Bibliografii miernictwa*, obejmujący światową literaturę tematyczną do końca 1935 roku, uznać można za pracę benedyktyńską i ten rodzaj służby nauce, który nie wynosząc autora na wyżyny popularności, kładzie trwale podstawy jej rozwoju. Profesor, nie bez powodu obdarzony przedomkiem „Szczegółowy”, swe bogate doświadczenie zawodowe przekazywał młodszym kolegom i studentom, stając się twórcą geodezji miejskiej, ze szczególnym uwzględnieniem tematyki planistycznej w rekonstrukcji układów miejskich. Profesor Wojtan zmarł we Lwowie 12 lutego 1936 roku. Po jego śmierci, w roku 1937 kierownictwo katedry objął nowo mianowany profesor nadzwyczajny Edmund Wilczkiewicz (1891-1946), specjalizujący się w instrumentoznawstwie geodezyjnym i fotogrametrii, autor pierwszego w Polsce podręcznika fotogrametrii.

217 osób, które ukończyły studia geodezyjne we Lwowie, można uważać za kontynuatorów Lwowskiej Szkoły Geodezyjnej. Byli lub są wśród nich uczeni tej miary co: działający w Warszawie profesorowie – Czesław Kamela i Walenty Szpunar, w Krakowie – Mieczysław Wrona, Jan Cisło, Zbigniew Skąpski, w Gliwicach – Michał Paszkiewicz, we Wrocławiu – Roman Hlibowicki, Józef Kożuchowski, w Kanadzie – Teodor Blachut, w Wenezueli Bernard Wahl, w Afryce – o. Balcar, w Stanach Zjednoczonych – Roman Chrzęszcz, ale i stanowiący ogromną większość absolwentów „zwykli” inżynierowie, pracujący w różnych okresach i na różnych stanowiskach w kraju i poza jego granicami. Kręgi oddziaływań są różne, a jednak żaden nie może być pominięty, żaden nie jest nieważny, wszystkie bowiem stanowią o wartości dzieła, które rozumiemy dziś pod pojęciem Lwowskiej Szkoły Geodezyjnej.

Gimnazjum państwowe im. Kazimierza Jagiellończyka w Kołomyi

Historia kołomyjskiego gimnazjum sięga początku lat sześćdziesiątych dziewiętnastego wieku. W tym czasie Kołomyja leżała jakby na peryferiach zaboru austriackiego i była odległa nie tylko od problemów dworu cesarskiego, ale też słabo docierały tu nowe prądy społeczne, wolnościowe, filozoficzne czy naukowe z galicyjskich metropolii: Lwowa i Krakowa. Jak w wielu miastach kresowych, żyły tu w zgodzie społeczności: polska, ruska, i żydowska, a warstwę inteligencką, oprócz wolnych zawodów, tworzyli w zasadzie urzędnicy. Powoli jednak w społeczności miasta dojrzała myśl powołania zakładu naukowego, co ułatwiłoby kształcenie młodzieży z miasta i całego Pokucia.

Rada gminna w porozumieniu z Radą Szkolną Krajową powołała do życia miejskie gimnazjum niższe, które rozpoczęło działalność we wrześniu 1861 r. Rozwój szkoły postępował etapami, a skrótowy zapis tych etapów przedstawia się następująco:

- 1861-1867 — miejskie gimnazjum niższe z niemieckim językiem wykładowym. Język polski traktowano jako nieobowiązkowy
- od 1867 — wprowadzenie polskiego języka wykładowego
- 1869 — przekształcenie w gimnazjum realne niższe
- 1871 — państwowe wyższe gimnazjum realne
- 1875 — pierwszy egzamin dojrzałości
- XI 1875 — przeniesienie szkoły do nowo zbudowanego gmachu
- 1900-1905 — powstanie dwóch burs — gimnazjalnej i ludowej
- 1900 — wyodrębniono ruskie klasy w samodzielne gimnazjum II z ruskim językiem nauczania
- 1902-1914 — działalność konspiracyjnej studenckiej Organizacji Niepodległościowej
- 1914-1918 — okresowe przerwy w działalności gimnazjum w wyniku zarządzeń okupacyjnych władz rosyjskich, ewakuacji miasta przez władze austriackie, ulokowania w budynku gimnazjum szpitala polowego
- 1917-1918 — imprezy patriotyczne uczniów i grona pedagogicznego
- 1918-1919 — zagarnięcie budynków i majątku gimnazjum przez ówczesne władze ukraińskie
- VIII 1919 — rewindykacja mienia gimnazjalnego i rozpoczęcie normalnych zajęć szkolnych
- 1920 — przyjęcie jako patrona gimnazjum Króla Kazimierza Jagiellończyka, na wniosek dra Dominika Czekałowskiego, profesora gimnazjum
- 1921-1925 — postępujące przekształcenie z gimnazjum typu staroklasycznego w tym humanistyczny
- 1933-1934 — wprowadzenie nowego typu szkoły w układzie 4 klasy gimnazjum i 2 klasy liceum

Godzi się przedstawić kierowników — dyrektorów placówki:

- 1861-1872 — Teodor Biłous
- 1872-1873 — Jan Zosel
- 1873-1875 — Emanuel Kiszakiewicz
- 1875-1880 — Kalikst Kruczkowski
- 1880-1881 — Aleksander Borkowski
- 1881-1891 — Emanuel Wolff
- 1891-1914 — Józef Skupniewicz
- 1914-1939 — Stanisław Boroń

Gimnazjum powstało krótko przed uruchomie-

niem w dniu 1 września 1866 r. pierwszej linii kolejowej Lwów—Czerniowce oraz około 20 lat przed rozpoczęciem eksploatacji pokładów ropy naftowej w pobliskiej Słobodzie Rungurskiej. Niewątpliwie jednak te dwa wydarzenia przyczyniły się wydatnie do rozwoju miasta, a także gimnazjum.

Do 1914 r. gimnazjum znajdowało się w monarchii austro-węgierskiej, na terenie zamieszkałym przez Polaków, Rusinów i Żydów. Ludność ruska na Pokuciu stanowiła zdecydowaną większość. Wiadomo, że ówczesne władze austriackie nie obdarzały ludności polskiej jakimiś przywilejami. Wręcz przeciwnie, prowadziły politykę skłócania ludności polskiej i ruskiej w myśl sławetnej zasady „Divide et impera”. Wzbudza więc podziw prężność i energia żywiołu polskiego, który będąc w mniejszości doprowadził do otwarcia gimnazjum polskiego.

Udarza także rozumne podejście do potrzeb ludności ruskiej, życzliwe, pozbawione szowinizmu i zawści. Ten motyw rozciągnie się zresztą na międzywojenne dwudziestolecie.

Ogromne zasługi w rozwoju gimnazjum położył jego długoletni dyrektor Józef Skupniewicz.

Zorganizował bursy, co umożliwiło naukę młodzieży z odległych miejsc Pokucia, gromadził pomoce naukowe, a nade wszystko zajmował się działalnością patriotyczną wśród młodzieży i grona nauczającego. Ufundowany przez niego park, położony pomiędzy dwiema odnogami Prutu, w pobliżu głównego koryta rzeki, był wzorowany na parku Jordana. Wśród drzew parkowych rozciągały się boiska do gier zespołowych, takich jak piłka nożna, koszykówka i siatkówka, oraz korty tenisowe.

W Polsce odrodzonej park otrzymał imię swego założyciela Skupniewicza, był zresztą finansowany z założonej przez niego fundacji.

Rozbiorowy okres gimnazjum trzeba zamknąć informacją o udziale uczniów i nauczycieli w działalności P.O.W. (70 osób) oraz w walkach w Legionach (36 osób).

Okres rozbiorowy z niepodległościowym łączy postać Stanisława Boronia. Objął on kierownictwo Gimnazjum 10 lutego 1914 r. i był dyrektorem do najazdu bolszewickiego we wrześniu 1939 r. Wielu moich rówieśników i starszych kolegów pamięta tę nietuzinkową postać administratora, społecznika i patrioty. Został On zamordowany w obozie koncentracyjnym na Majdanku.

Opis działalności Gimnazjum w okresie niepodległościowym wypada rozpocząć od informacji ogólnych. Budynek szkolny znajdował się przy ul. Mickiewicza 3, naprzeciw Kościoła Parafialnego, blisko skrzyżowania z ul. Legionów. Był to gmach dwuskrzydłowy o trzech kondygnacjach. Główne skrzydło z wejściem biegło wzdłuż ul. Mickiewicza, boczne wzdłuż krótkiej uliczki. W bocznym skrzydle mieściło się Państwowe Gimnazjum II, z ruskim językiem

nauczania. Budynek gospodarczy, przyległy do głównego skrzydła, oraz oba skrzydła tworzyły literę U i obejmowały obszerne podwórze. W rogu podwórza usytuowana była sala gimnastyczna z szatnią. Do gimnazjum należały dwa ogrody, uprawiane przez młodzież niższych klas w ramach ćwiczeń.



Gimnazjum w Kołomyi

Pomieszczenia w budynku gimnazjum miały następujące przeznaczenie: 11 sal lekcyjnych; 2 sale do rysunków i zajęć praktycznych; 3 sale biologiczne — pracownia i zbiory eksponatów; 4 sale fizyko-chemiczne — pracownie i aparatura; 2 sale geograficzne; 1 sala filologiczno-historyczna; 5 sal dydaktycznych i nauczycielskich; 1 gabinet lekarski; 1 gabinet dentystyczny. W budynku gospodarczym mieściły się świetlica i harcówka, wykorzystywane do południa na cele dożywiania.

Ciekawie przedstawiało się wyposażenie pracowni.

Szkoła starała się realizować zasadę praktycznego przyswajania wiedzy, oczywiście tam, gdzie to było możliwe i uzasadnione. Np. w pracowni biologicznej było blisko 1000 eksponatów i 600 plansz. Eksponatami były m.in. wypchane zwierzęta i ptaki, przechowywane w pojemnikach szklanych z formaliną otwarte ciała zwierząt. Już w pierwszej klasie w ramach ćwiczeń badano pod mikroskopem budowę komórek różnych roślin i tkanek zwierzęcych. Jeden mikroskop przypadał na trzech uczniów do których należało też samodzielne przygotowanie preparatów.

Pracownia zajęć praktycznych była wyposażona w sprzęt do obróbki drewna. Zaczynano od prac najprostszych, przechodząc w miarę nabierania wprawy do bardziej złożonych. Podobnie działały pracownie fizyki i chemii, wyposażone w ponad 500 aparatów. Gabinet geograficzny był wyposażony w komplet map planszowych i w sporą liczbę globusów. Biblioteka szkolna dzieliła się na nauczycielską i uczniowską, ale też posiadała wypożyczalnię podręczników dla uczniów uboższych.

Trudno mi ocenić, czy wyposażenie i metody pracy gimnazjum w bądź co bądź niebogatym, kresowym mieście były na owe czasy sprawą normalną, ale porównanie z wyposażeniem średnich szkół peerelowskich nie daje powodów do wstydu.

Szkoła wydawała co roku „Sprawozdanie”, zawierające pełne dane o składzie osobowym grona nauczającego, wszystkich uczniów, informacje o tematach maturalnych i przebiegu egzaminów, a także wiadomości o działalności wszystkich organizacji

szkolnych. Sprawozdanie, o objętości zwykle kilkunastu stron, było podzielone na trzy zasadnicze rozdziały: Od Dyrekcji — Od uczniów — Od rodziców.

Grono pedagogiczne

Skład grona nauczycielskiego ulegał sukcesywnie zmianom, aczkolwiek część nauczycieli związała się z gimnazjum na długi okres. Przykładem może być dyr. Stanisław Boroń.

Jaki poziom reprezentowało grono nauczycielskie? Jak w każdej szkole trafiali się nauczyciele dobrzy i słabsi. Jedni byli poważni i szanowani przez młodzież, inni trochę mniej.



- Stanisław Boroń, matematyk, długoletni zasłużony dyrektor, społecznik (zdjęcie powyżej).
- Józef Balwirczak, polonista, przybył do gimnazjum w 1936 r. Mały wzrostem, ale wielki duchem i odwagą. Potrafił nie tylko uczyć języka ojczystego, ale sprawił, że młodzież ten przedmiot pokochała. Podczas sowieckiej okupacji, mimo powszechnego donosicielstwa, nadal krzawił polskość i patriotyzm. Wielokrotnie dawał w swym domu schronienie młodzieży ze swej poprzedniej szkoły, bodaj z Sokala, która to młodzież usiłowała przedostać się przez rumuńską granicę na zachód. Miał z tego powodu poważne kłopoty z NKWD, ale udało mu się uratować.

- Józef Baraniuk — germanista (zdjęcie obok). Podobnie jak J. Balwirczak, trafił do gimnazjum krótko przed wojną, przeniesiony na własną prośbę z gimnazjum w Żółkwi. Był niezwykle wymagający, surowy, lecz w pełni sprawiedliwy. Przy swej surowości był prawdziwym przyjacielem młodzieży.



Podczas okupacji niemieckiej wyratował wiele młodych ludzi od wywozu do Niemiec, w tym również

autora. Po wojnie zorganizował liceum w Prudniku i został jego dyrektorem. Z tego stanowiska został odwołany już w 1947 r. z przyczyn politycznych. Wielka osobowość.

- Zalkie Brandes – uczył religii mojżeszowej, Żyd.
- Ks. Jan Karczewski – katecheta. Człowiek ogromnej łagodności i wielkiego serca, lubiany przez młodzież. Kapelan hufca harcerskiego.
- Roman Kobierski – polonista.
- Krzywiecki – matematyk. Wymagający, o dobrym warsztacie dydaktycznym.
- Zygmunt Lubczyński – długoletni nauczyciel WF. Jako jeden z nielicznych miał popularny wśród młodzieży przydomek „Mocny”, o zabarwieniu nieco ironicznym, ale i ciepłym.
- Edmund Oszywa – znakomity historyk, zawsze poważny, bez cienia uśmiechu, o suchym, ale interesującym wykładzie.
- Hieronim Pyka – germanista. W 1938 r. został przeniesiony na Zaolzie.
- Józef Przygrodzki – polonista.
- dr Adam Schmuck – geograf, opiekun bursy. Człowiek wielkich lotów. Już przed wojną publikował ciekawe prace naukowe. Dobry dydaktyk. Po wojnie profesor zwyczajny Uniwersytetu i Akademii Rolniczej we Wrocławiu.
- Izydor Schweitzer – chemik i fizyk. Żyd. Popularny „Izio”. Mimo iż wykładał trudne przedmioty i był wymagający, nie był postrachem młodzieży. Już w latach trzydziestych roztaczał przed zdumionymi słuchaczami wizję energetyki atomowej.



- Stanisław Sokołowski – historyk (zdjęcie obok). Do gimnazjum przybył w 1936 r. przeniesiony na własną prośbę z Niska. Pasjonat harcerstwa, harcmistrz. Przyjaciół młodzieży. W maju 1939 r. objął komendę Hufca ZHP.

- Wilhelm Stiefel – biolog. Prowadził niezwykle interesujące lekcje pogładowe.

Osobistość b. popularna na terenie gimnazjum. Długoletni komendant Hufca ZHP. Podczas wojny przebywał w Oflagu.

- Roman Szypajło – dobry matematyk i fizyk. Ukraińiec o poglądach szowinistycznych.
- Szczepan Zaczek – łacinnik. Starszy człowiek o głębokim sercu, co bezlitośnie wykorzystywała młodzież.

Wykaz nauczycieli został nieco skrócony. Warto go jednak uzupełnić trzema nazwiskami nauczycieli Ukraińców z sąsiedniego Gimnazjum II, zatrudnionych w niepełnym wymiarze godzin.

- Ks. Mikołaj Kapustyński – uczył religii greckokatolickiej nielicznych Ukraińców tutaj gimnazjum.
- Julian Kowalów – uczył języka rosyjskiego.
- Teodor Strilciw – łacinnik. Poważny, a nawet ponury, bez uśmiechu na twarzy, złośliwie wy-

szyszący nieprawdopodobne błędy swoich uczniów. Znakomity dydaktyk, wprost zmuszający do nauki, przy którym nawet w najtępszych głowach coś z tej łaciny zostało. Bardzo sprawiedliwy.

Uczniowie

Uczniowie wywodzili się z różnych środowisk. Reprezentowane były wolne zawody, urzędnicy, rzadziej rolnicy. Ciekawie przedstawia się skład narodowościowy. Podajemy przykłady:

wyznanie	rok 1931/32	rok 1933/34
rzymskokatolickie	285	202
greckokatolickie	22	11
Ormiańskokatolickie	4	2
ewangelickie	7	8
mojżeszowe	158	113

Zdarzały się klasy o przewadze Żydów, np. w 1932 r. klasę VIII ukończyło 9 Polaków, 12 Żydów i 2 Rusinów.

Jak zatem można wytłumaczyć powtarzające się opinie współczesnych żydowskich autorów o dyskryminacji Żydów w przedwojennych szkołach średnich? Prowokacja, szowinizm? Na pewno jednak fałsz i zakłamanie.

Młodzież była zrzeszona w samorządzie uczniowskim. Było to wynikiem świadomego działania władz szkolnych, aby szkoła nie tylko uczyła, ale i wychowywała oraz przygotowywała młodzież do życia w społeczności. Praca samorządu była oparta o Statut Gminy Szkolnej. Obok wielokierunkowej działalności samorząd zaczął w 1931 r. wydawać miesięcznik „Nasza Niwa”. Patrząc dzisiejszym okiem na treść zachowanych egzemplarzy miesięcznika można stwierdzić, że niezależnie od pewnych naiwności periodyk drukował szereg ciekawych artykułów uczniowskich o różnorodnej tematyce, których poziom wzbudza uznanie.

Wiadomości szkolne młodzież pogłębia w prężnie działających kołach samokształceniowych: przyrodniczym, geograficznym, historycznym, polonistycznym, literackim, germanistycznym, filozoficznym, fizycznym i dramatycznym. Opiekunami kół byli nauczyciele.

W Gimnazjum działały dwie drużyny harcerskie – I im. Tadeusza Kościuszki i II im. Stanisława Żółkiewskiego. Pozwolę sobie przytoczyć ostatnią zwrotkę hymnu II drużyny:

*W nas serce polskie bije i ojców naszych krew,
Duch wodzów nam hetmani i pól cecorskich zew.
Hetmańska my drużyna, kresowa Polski straż,
Kto z nami Sprawie służy, ten druż nam i nasz brat.*

Widoczny był ruch sportowy w gimnazjum. Prowadzono rozgrywki międzyklasowe, a później między szkolne w grach sportowych. Działała sekcja kajakowa, w zimie uprawiano łyżwiarstwo, hokeiści regularnie zdobywali mistrzostwo miasta, dzięki sprzyjającym warunkom terenowym w pobliskich górach kwitł sport narciarski.

Poszczególne klasy, a także drużyny harcerskie i plutony PW organizowały co roku wiele wycieczek. Najbardziej popularne były wycieczki na Górę Oskrziesiniecką, z której roztaczała się wspaniała panorama miasta z Prutem u podnóża, oraz do Kniaźdwora, gdzie był

największy w tej części Europy rezerwat cisów. Dość częste były także wycieczki w pobliże Karpaty do Jabłonowa, Kosowa lub Jaremcza, na Chomiak, Howelę itp.

Aspekty dydaktyczno-wychowawcze

Pisząc o działalności gimnazjum nie sposób pominąć kluczowego pytania o poziom nauczania w placówce leżącej na dalekich kresach II Rzeczypospolitej. Bezpośrednia odpowiedź nie jest możliwa, i to z dwóch powodów. Po pierwsze, brak jest danych o losach i drodze życiowej przedwojennych maturzystów. Po drugie zaś, jaką miarą mierzyć ten poziom? Spróbujmy więc określić go drogą pośrednią, obciążoną dużą dozą subiektywizmu autora, który rozpoczął edukację w gimnazjum dwa lata przed wybuchem wojny. Jeśli przyjąć, że o poziomie nauczania decyduje poziom nauczycieli i metody dydaktyczne, to działalność gimnazjum trzeba ocenić wysoko. W ogromnej większości personel nauczający znał doskonale swój przedmiot i potrafił przekazać wiadomości w interesującej formie. Również metody dydaktyczne były trafne, m.in. dzięki dobremu wyposażeniu w pomoce naukowe. Autor po wielu latach przerwy zetknął się ze sporą liczbą starszych kolegów gimnazjalnych. Otóż ludzi tych w wieku mocno emerytalnym cechuje spory zasób wiadomości wyniesionych z gimnazjum, a nade wszystko znakomicie opanowany, bogaty i poprawny język polski. Zresztą poprawność i bogactwo języka polskiego jest także cechą wychowanków gimnazjów stryjskich, stanisławowskich, nie mówiąc o lwowskich. Czyżby cechy regionu?

Znaczna część wychowanków gimnazjum ukończyła po wojnie studia. Można odnotować sporą liczbę profesorów i docentów, paru generałów, grupę polityków, wśród których jeden może znaleźć zapis w historii z powodu pewnego incydentu gdańskiego.

Odstępując wyjątkowo od zasady niepodawania nazwisk uczniów, wymienię nazwisko jednego wychowanka gimnazjum. Jest nim przeuroczy człowiek, nieżyjący już, niestety, satyryk i aktor estradowy Marian Załucki, autor zbiorów wierszy *Ojczyste kpiny* i *A nie mówiłem*.

DANUTA TABIŃSKA-JUHASZ

Wielkanoc w Żywaczowie

Była to wieś na Pokuciu, na trasie Tłumacz-Horodenka. Do majątku dziadków Tabińskich przyjeżdżaliśmy przed wojną na każde święta z pobliskiego Tłumacza. Przez całe życie podążają za mną dziecięce wspomnienia wspaniałości wielkanocnego stołu u dziadków. Pamiętam, że w bardzo dużym pokoju stał długi stół, który uginał się od „święconego”. Była to prawdziwa wystawa wykwintnego jadła oczekująca na poświęcenie.

Po rezurekcji z małego żywaczowskiego kościółka przywożono bryczką księdza Wróbla, który dokonywał ceremonii uroczystego poświęcenia stołu. Uczestniczyła w tym cała liczna rodzina, goście i sąsiedzi. Zachwycono się wypiekami babci Gieni i innymi wyrobami świątecznymi.

Obok podstawowego nurtu dydaktycznego w gimnazjum zaznaczył się wyraźnie nurt wychowawczy i patriotyczny. Do spraw oczywistych i normalnych można zaliczyć czynny udział gimnazjum w świętach państwowych, w rocznicach sławnych polskich bitew, powstań itp.

W codziennym życiu szkolnym nie było tzw. lekcji wychowawczych, ale prawie każdy nauczyciel był nośnikiem idei patriotycznych i pozytywnych cech ogólnoludzkich, takich jak uczciwość, poszanowanie prawdy, tolerancja itp., czemu dawał wyraz w czasie lekcji. Rzecz charakterystyczna, że w regionie trójnarodowościowym polsko-ukraińsko-żydowskim w gimnazjum nie było miejsca na uprzedzenia lub szowinizm. Wręcz przeciwnie — Żydów i nielicznych Niemców i Ukraińców traktowano jak zwykłych, równych sobie kolegów. Gimnazjum miało wspólny podwórzec ze szkołą ukraińską, na przerwach młodzież obu szkół przebywała obok siebie. Raczej nie było oznak bratania się, ale też nie są mi znane incydenty na tle narodowościowym. Jedynym miejscem konfrontacji były areny sportowe, gdzie uczniowie obu gimnazjów walczyli zaciekle o pierwszeństwo. Przykładem kultywowania poprawnych stosunków z Gimnazjum II może być gremialny udział grona i młodzieży w pogrzebie ks. Jana Saturskiego grekokatolickiego prefekta Gimnazjum II. Jakżeż to odbiegało od późniejszego wybuchu nienawiści i zbrodni ukraińskich nacjonalistów.

Czy wdrażane przez gimnazjum cnoty obywatelskie jak patriotyzm, uczciwość, poszanowanie prawa, tolerancja, przedkładanie interesu ogólnego i narodowego nad własny wydały pełne owoce, to już inna sprawa. Niestety, były niechlubne wyjątki już podczas okupacji sowieckiej, a następnie niemieckiej, a także po wojnie, gdy termin patriotyzm oznaczał antytezę tego wdrażanego przez szkołę. Cóż, życie biegło swoim torem i weryfikowało postawy ludzkie.

Gimnazjum stało jednak niezmiennie na stanowisku starorzymskiej maksymy: „*Salus Rei publicae suprema lex esto*”.

Nas dzieci fascynował baranek z masła, leżący wśród gałązek barwinku, prosiaczek w całości upieczony na brązowo, który w pysku trzymał jajko. Mazurki wabiły kolorowymi barwami lukrów i dekatzowanych owoców. Pisanki były arcydziełami barw i huculskich wzorów. Były wśród jaj olbrzymie i maleńkie. Były zwoje kiełbas własnego wyrobu i prawdziwe szynki w całości z wystającą kością. Nad tym wszystkim górowały baby wielkanocne, tak wysokie i smukłe, że nigdy już takich w życiu nie widziałam. Tajemnicą był naturalnie odpowiednio wysoki piec chlebowy. Stół był przystrojony baziami znad pobliskiego Dniestru, i bukiecikami wiosennych kwiatów. bo widocznie przedwojenny porządek dotyczył również pogody i na Święta Wielkanocne była tam już piękna wiosna, a na Boże Narodzenie zawsze siarczysta śnieżna zima.

Po poświęceniu stołu, wspólnej modlitwie i odśpiewaniu *Wesoły nam dziś dzień nastał* zaczynał się poczęstunek — kosztowanie tych wszystkich wspa-

niałości świątecznych. Naturalnie prawdziwe, tradycyjne święcone już z dzieleniem się jajkiem i w ścisłym gronie rodzinnym odbywało się w pierwszy dzień świąt rano przed sumą. Dzielenie się jajkiem rozpoczynał dziadek, poprzedzając to piękną przemową do rodziny. Dziadek Jan Tabiński, emerytowany



inspektor podatkowy z czasów „Najjaśniejszego Pana Franciszka Józefa”, był bardzo lubiany i szanowany w całej okolicy za patriotyzm i prawdziwą postawę religijną. Chłopi – Polacy i Ukraińcy z okolicznych wsi – zwracali się do niego o porady prawne. Nigdy nie odmawiał. Był też rozjemcą w sporach i waśniach sąsiadów. W czasie ostatniej wojny, znając język węgierski, zdołał wytłumaczyć

wkraczającym w czerwcu 1941 roku Węgom, że Ukraińcy poprowadzili w stronę Dniestru wszystkich Żydów z Tłumacza i okolic, żeby ich potopić. Odziałem węgierskim udało się powstrzymać tę bestial-



ką akcję przygotowaną już do realizacji wzdłuż biegu Dniestru.

Tymczasem przy wielkanocnych życzeniach i obficie zastawionym stole nie przypuszczaliśmy, jakie ciężkie przeżycia są przed nami i że dojdzie do rozproszenia całej rodziny i do zupełnego unicestwienia naszego rodzinnego domu w Żywaczowie.

Sprostowanie.

W artykule pt. „Zagłada wsi Adamy – rok 1944”, wydrukowanym w czasopiśmie „Semper Fidelis” nr 1(14) 1993 r. podano mylnie nazwisko dowódcy ludobójczego oddziału OUN-UPA, grasującego na tym terenie w latach 1943-46, który dokonał zniszczenia polskiej wsi Adamy. Nie był to Kapij Osip o ps. „Kopiak”, ale Dymitr Kupiak o ps. „Klej”, który po wojnie uciekł do Kanady i zamieszkał w Toronto. Podany Kapij Osip należał też do bardzo aktywnych banderowców, a dowodem tego jest do-

Dzielo zniszczenia rozpoczęli Niemcy, wycinając szpalery dorodnych włoskich topoli okalających całą posesję. Potrzebowali drzewa na okopy i ziemianki na linii frontu, który właśnie tam utrzymywał się przez trzy miesiące wiosną 1944 roku. Działania wojenne zniszczyły zabudowania gospodarcze. Do pustego zrabowanego domu, który cudem ocalał, powrócili z uciekinierki na Bukowinę drabiniastym wozem dziadkowie, wraz z uniesionym dobytkiem. Rozpoczęli na nowo bytowanie. Konie stały w największym pokoju, babcia wabiła zdziczałe kozy, które wypuściła przed wyjazdem. Dzielną ciocią Ania, najmłodsza córka, zaczęła sama uprawę zaminowanych pól. Jednak choroba dziadka i przestrogi zaprzyjaźnionych Ukraińców spowodowały opuszczenie majątku i wyjazd do Kołomyi do najstarszej córki Marii Łysakowskiej. Po śmierci dziadka w 1946 roku wszyscy wyjechali na zachód. Babcia zamieszkała ze swoją córką Anną Prószyńską we Wrocławiu na Oporowie. Martwiły ją wieści, że kolchoz w Żywaczowie zrobił w naszym domu olejarnię. Mawiała „zniszczą nam dom i nie będzie do czego wrócić”. Była spokojna, małomówna, ale stanowcza i bardzo praktyczna. Pamiętam, jak pierwszym moim autem trabantem odwoziłam ją ze szpitala na Oporów. Wypytywała mnie po drodze, czy umiałabym dojechać do Żywaczowa, ile to może być kilometrów z Wrocławia i jak długo trwałaby taka podróż autem. Wiem, że gdyby to było możliwe w latach sześćdziesiątych, to moja wspaniała babcia Gienia nie zawahałaby się ani chwili, żeby prosto ze szpitala jechać do swojego ukochanego Żywaczowa. W sędziwym już wieku całe zimy spędzała w łóżku, ale z nadejściem wiosny ożywała i szła pracować do ogródka koło domu na Oporowie. Gdy chciano jej to wyperswadować, mawiała „to grzech – ziemia czeka na uprawę”. My nazwaliśmy to „zew ziemi”.

Z końcem sierpnia 1968 roku w czasie „zawieruchy czechosłowackiej” w drodze powrotnej trabantem znad Czarnego Morza z dziećmi udało mi się umknąć milicji z wytyczonej drogi Czerniowce – Zaleszczyki – Tarnopol i przez Horodenkę dojechać do Żywaczowa. Domu już nie było, rozebrali go na cegłę do budowy pieców. Tych wiadomości już babcia nie dożyła.

Na zakończenie muszę się przyznać, że w wojennych czasach wielkiego głodu wspomnienia o wielkanocnym stole u dziadków i rozpamiętywanie, co na nim było nie raz pozwoliło mi usnąć syto, chociaż z pustym żołądkiem.

Na tym niezapomnianym czarnoziemiu „mlekiem i miodem płynącym” znowu jest głodno. Dlaczego?

konany mord przez niego na swoich sąsiadach, dwojga staruszków, małżeństwie Gilewiczach. Mordu tego dokonał w czasie ucieczki z Niemcami przed nacierającą sowiecką armią w lipcu 1944 r. w swym rodzinnym mieście Busku, na Wolanach (taką nazwę posiada ta część Buska). Nie udało mu się uciec daleko, ponieważ w sąsiedniej wsi Lanerówka został zastrzelony przez sowieckich żołnierzy. Pogrzebano go na cmentarzu przy cerkwi na tychże Wolanach w sąsiedztwie jego ofiar.

Kiedy w 1944 r. w lutym wymordowano pracowników, Polaków, Urzędu Nadleśnictwa we wsi Gra-



Dymitr Kupiak

bowa, gdzie zginął mój przyjaciel mgr Kazimierz Kamiński, wiadomo było, nawet głośno o tym krążyły pogłoski, że była to sprawa prowodyra Kupiaka. Wówczas nikt z żyjących Polaków nie miał pojęcia do jakich rozmiarów sięgały jego ludobójcze działania. Dopiero niedawno dostała się w moje ręce książka w języku ukraińskim pt. „Rozrachunek” — dokumenty

i materiały z sądowego procesu nad grupą bandytów OUN-UPA i z niej dowiedziałem się o rozmiarach dokonanych zbrodni przez Kupiaka i jego bandę. Książka ta opisuje przebieg procesu sądowego, przeprowadzonego przez sowieckie władze w listopadzie w 1969 r. w m. Krasne koło Lwowa. Kupiaka sądzono zaocznie, ponieważ rząd kanadyjski nie zgodził się na jego ekstradycję. Obecnych na sali sądowej było tylko 5 jego współuczestników, których udało się ująć władzom sowieckim. Kupiak w kanadyjskiej diasporze uznawany jest za wielkiego patriotę ukraińskiego i dzielnego bojownika z komunistycznym reżimem. Często występował w radiu „Głos Ameryki” i „Wolna Europa”.

Na ten proces sprowadzono wielu świadków z Polski, między innymi Weronikę Furmaniewicz z domu

Szeremeta, która ukryta w krzakach porzeczek była świadkiem jak zamordowali jej babcię. Sprowadzono też Mirosławę Susabowską z Warszawy, żonę polskiego pułkownika SB, z domu Mirosławę Falińską, mieszkankę Buska. W latach wojny była łączniczką „Kupiaka” ps. „Osika” oraz jego konkubiną, która będąc obecną przy ludobójczych działaniach Kupiaka bardzo dużo o nim wiedziała. Jako łączniczka wozila raporty od Kupiaka, watażki bójówki OUN-UPA do Lwowa, gdzie przebywał „Mikuszka”, kierownik SB t. służby bezpieczeństwa krajowego prowodu OUN. Od kierownika „Mikuszki” o nazwisku Grzegorz Pryszlak zabierała instrukcje i dyrektywy dalszego działania i oddawała je Kupiakowi. Na ten proces została wezwana nie jako oskarżona Sławomira Falińska ale jako główny świadek oskarżenia. Oboje, tj. Kupiak i Falińska uciekli po wojnie do Polski Ludowej, gdzie spieniężyli we Wrocławiu wartościowe rzeczy zrabowane na ofiarach mordów. Kupiak wyjechał do Kanady i założył restaurację w Toronto, a ona pozostała w Polsce, wyszła za mąż za pułkownika SB i zamieszkała w Warszawie, gdzie prawdopodobnie przebywa do dziś.

Książkę tę powinni przeczytać przede wszystkim niektórzy Ukraińcy zamieszkujący Rzeczpospolitą Polskę, a w szczególności Mirosław Czech, redaktor ukraińsko-języcznego tygodnika „Zustrični”, który deklarował: „UPA to cześć i duma Ukrainy”. Deklarację tę złożył już po odbyciu konferencji kombatanów Białorusi, Polski, Rosji i Ukrainy w dniach 19-20 lutego 1993 r., podczas której również ukraińscy kombatan ci stwierdzili jasno, że UPA była organizacją zbrodniczą i zdecydowanie odcięli się od tej organizacji. Tak nielojalny wobec Polski Mirosław Czech został wybrany w dniu 19.IX.1993 r. na posła do Sejmu RP z krajowej listy Unii Demokratycznej (Koszalińskie — 4913 głosy).

Bronisław Szeremeta

AKTUALNOŚCI

JAROSŁAW HAAK

Wałbrzyskie kresowiana

Przez z górą 40 lat w PRL o Kresach nie mówiło się oficjalnie wcale. Usłużni propagandyści usiłowali przekonać Polaków, że kresowianie zostali przemieszczeni z podolskiego czy też wileńskiego „buszu” do krainy cywilizacyjnej szczęśliwości. Otwarta w połowie lutego br. w wałbrzyskim Muzeum Okręgowym wystawa pt. „Wałbrzyskie kresowiana — Z domowego archiwum” była skromną, ale — jak sądzę — zupełnie udaną próbą podważenia tej mistyfikacji. Bogata dokumentacja zdjęciowa dowodziła, że rezydencje w Olesku czy Podhorcach w niczym nie ustępowały siedzibom pruskich junkrów na Pomorzu czy też na Dolnym Śląsku. Główne ulice w Tarnopolu, Stanisławowie lub w Stryju były porów-

nywalne z ich odpowiednikami w Świdnicy lub w Jeleniej Górze. A Lwów? Urodą położenia, malowniczością poszczególnych dzielnic zdecydowanie przewyższał, zaś architekturą oraz bogactwem życia kulturalnego i naukowego dorównywał przedwojennemu Wrocławowi. W końcu Wały Hetmańskie, zwieńczone cudowną bryłą Teatru Wielkiego, tworzą jedno z piękniejszych rozwiązań urbanistycznych w Europie.

Szczególnie interesujące okazały się archiwa rodzinne. Pani Marta Gąsiorowska zaprezentowała dokumenty rodowe sięgające XVIII wieku, między innymi testamenty, świadectwa szkolne, indeksy, dyplomy Uniwersytetu Jana Kazimierza oraz świetne pejzaże i portrety pędzla swojego ojca, artysty plastyka — Stanisława Rossowskiego. Również interesujący zestaw dokumentów rodzinnych, wśród nich drzewo genealogiczne sięgające początków XVII wieku, przedstawił pan Jan Kruczkowski. Pan Edward Domaradzki przechował archiwum borysławskiego

Strzelca – dokumentarium wprost bezcenne nie tylko dla historyka Kresów. Pan Zygmunt Magierski dla odmiany przedstawił dokumentację fotograficzną borysławskiego Sokoła. Pani Anna Hamerska, córka profesora Uniwersytetu Jan Kazimierza, zaprezentowała kilka rzadkich wydawnictw pochodzących z lwowskich oficyn oraz wspaniałą kolekcję zdjęć rodzinnych, które dają nie tylko pewne wyobrażenie o życiu lwowskiej inteligencji, ale nadto są świadectwem mistrzowskiego oka lwowskich fotografów. Pan Stanisław Zydlik, „w cywilu” dyrektor wałbrzyskiego muzeum, przedstawił znakomitą dokumentację fotograficzną Żółkwi oraz kilka pamiątek i dokumentów rodzinnych, wśród nich dyplom lekarza weterynarii swojego ojca, wydany – jakżeby inaczej – przez Uniwersytet Jana Kazimierza.

Wystawa sugestywnie, niekiedy zgoła wzruszająco ilustruje pracę, wypoczynek i życie rodzinne kresowian. Oto widzimy grupę pań, które uroczystie święcą ukończenie kursu kroju i szycia. Na innych zdjęciach obserwujemy, jak robotnicy borysławskich kopalń w niedzielne przedpołudnie fabrycznymi samochodami wyprawiają się nad malowniczą rzekę Stryj. Pani Jadwiga Świstun przedstawiła część archiwum rodziny Tyszkowskich, a także kilka rodzinnych pamiątek, wśród nich urokliwy rysunek prawdziwie polskiego dworku w Seredyńcach pod Tarnopolem. Pani Danuta Rosińska wystawiła kolekcję pięknych płaskorzeźb, wyobrażających między innymi Tadeusza Kościuszkę i marszałka Józefa Piłsudskiego, a wykonanych przez jej ojca, Stefana Pawliszaka w drohobyckiej giserni.

Zdarzały się też eksponaty zgoła wzruszające. Oto pani Maria Krokowska wystawiła lalkę, którą jako dwuletnie dziecko otrzymała od ojca, znanego czortkowskiego adwokata. Podobną, tylko odpowiednio okazalszą, lecz pochodzącą z tej samej lwowskiej wytwórni, której nazwy nie udało nam się ustalić, dzieci lwowskie ofiarowały prezydentowi Rzeczypospolitej – Ignacemu Mościckiemu.

Interesujące pamiątki zaprezentowali też: Romana Stach, Teodor Czernij, Tadeusz Lutowski, Gustaw Ginda, Jan Paczosa i Zygmunt Sajdak.

W gablotach sali wystawowej znalazły się też liczne przedmioty, np. lampy naftowe, młynki do kawy, połowy piecyk do pieczenia ciast(!), narzędzia, makaty huculskie, książki... Wśród tych ostatnich kilka bibliofilskich cymeliów, np. wydany w roku 1779 w Berdyczowie, a dedykowany lwowskim rajcom zbiór kazań, wydany w Wilnie w 1788 roku praca Hieronima Stroynowskiego pt. *Nauka prawa przyrodzonego, politycznego, ekonomiki politycznej i prawa narodów*, lwowskie wydanie dzieł Williama Szekspira z roku 1895, *Dzieje powszechne* F.K. Szlosera (Lwów, 1884), *Pyśma Tymka Padurry* (Lwów, 1874), pisarza polsko-ukraińskiego, przyjaciela Wacława Rzewuskiego, zwanego emirem Tadz ul-Fehr, który sprowadził do Polski konia arabskiego, czy też rocznik 1792 „Korespondenta Warszawskiego”. W jednym z jego numerów czytamy, iż przebywający we Lwowie gen. Tadeusz Kościuszko został uznany przez zaborcze władze austriackie za persona non grata i relegowany z miasta. Na osobną uwagę zasługuje *Antologia*



Żarliwa dyskusja przy eksponatach

współczesnych poetów ukraińskich ze wstępem Władysława Orkana, notabene wydana w złoczowskim wydawnictwie Wilhelma Zukerkana. Tak, tak, Złoczów, kilkunastotysięczne miasteczko powiatowe, ongiś własność Sobieskich, miał oficynę wydawniczą o zasięgu ogólnopolskim. Zarabiała ona na brykach do języka łacińskiego, ale wydawała też teksty istotne dla kultury polskiej. Współpracowało z tym wydawnictwem wielu wybitnych historyków literatury, między innymi wyborny stylista i subtelny analityk – prof. Wacław Borowy z Uniwersytetu Warszawskiego.

Wystawa wywołała bardzo duże zainteresowanie w środowisku wałbrzyskich kresowian. W dość pojemnej sali ekspozycyjnej Muzeum Okręgowego tłoczyło się kilkaset osób. Przeważali ludzie starsi, ale było też sporo młodzieży – swoista forpocztą zapowiadanych wycieczek szkolnych. Były przemówienia, powitania i nieoczekiwane spotkania dawnych przyjaciół, nade wszystko jednak wzruszenie i podziw. Ileż trzeba było hartu ducha i odwagi, żeby np. przechować archiwa Strzelca i Sokoła, płaskorzeźby Kościuszki i Piłsudskiego w czasie sowieckiej i niemieckiej okupacji, a potem przewieźć je do Wałbrzycha, gdzie też za tego rodzaju pamiątki nie głaskano po głowie...

Nie sposób pominąć jeszcze jednego epizodu z tego znaczącego i interesującego spotkania. Oto na zakończenie ceremonii otwarcia wystawy aktor wałbrzyskiego Teatru Dramatycznego – Adam Wolańczyk odczytał wiersz pana Zygmunta Sajdaka, borysławianina i górnika kop. „Wałbrzych”, pt. *Do wnuka*. Nie był to zapewne utwór najwyższej próby literackiej, ale niezwykle szczery i przez to autentyczny, opisujący ekspatriację Polaków z Kresów w perspektywie historycznego dramatu zbiorowości i nieszczęścia jednostki. I w tym sensie był to utwór „głębszy” niż uczona dysertacja historyków. Wystawa też zresztą była adresowana bardziej do wnuków niż ich dziadków.

I jeszcze jedna uwaga. Wystawa ta stała się w Wałbrzychu wydarzeniem kulturalnym, a ponadto przyczyniła się do konsolidacji środowiska wałbrzyskich kresowian. I o to też chodziło. Stąd też inicjatywa wałbrzyskiego oddziału TML, wsparta przez dyrekcję Muzeum Okręgowego i Zarząd Wałbrzyskiego Towarzystwa Społeczno-Kulturalnego, wydaje się być godną naśladowania.

DANUTA NESPIAK

Czortków ma monografię

Szymon Starowolski, zacny kanonik kapituły krakowskiej, w swoim dziele *Polonia sive status Regni Poloniae descriptio*, wydanym w 1623 roku w Kolonii, opisując Podole wymienił Czortków zaznaczając, że z powodu najazdów tatarskich i ustawicznych wojen miasto nieźle jest obwarowane, ma zamek bardzo obronny, a mieszkańców jakby do wojny stworzonych i Marsowi oddanych. Pewnie dlatego, że różne burze dziejowe, w tym kilkuletnie panowanie tureckie (1676-1683) nie oszczędzały ani miasta, ani jego mieszkańców.

Przedwojenny Czortków, przeszło 20-tysięczne miasto powiatowe w woj. tarnopolskim w 1931 roku zamieszkiwało 46% Polaków, 22,8% Ukraińców oraz 30% Żydów (żeby nie być poświadczoną o stronniczość w zawyżaniu liczby Polaków dane, zaczerpnęłam z *Encyclopedia of Ukraine*, Volumen I, ed. Volodymyr Kubijovyc, Toronto 1985, s. 495, hasło „Chortkiv”). Położony w dolnie Seretu należał Czortków wraz z najbliższą okolicą do najbardziej malowniczych miejscowości polskiego Podola. Dawna uroda tej krainy nawet dzisiaj, po strasznych kataklizmach wojny jest postrzegana nie tylko przez tych, których korzenie i historie rodzinne wiążą się z nią. Świadczą o tym dzieje pewnej pracy magisterskiej, która urosła do sporej monografii Czortkowa, obejmującej lata 1522-1946. Jej autor, Marek Ściślak urodził się w Radomsku. Trylogię Sienkiewicza jako uczeń licealny czytał w czasie, kiedy historię Kresów Wschodnich I i II RP chętnie by w ogóle przesunięto do „niebytu” edukacyjnego. W Radomsku ani w rodzinie, ani wśród rówieśników nie spotykał się z tradycją kresową. Przeczytał Trylogię i po prostu zauroczył się Sienkiewiczem i kresową epopeją. A z żywą tradycją i kulturą tej ziemi związało go potem małżeństwo. Jego żona Bożena jest córką czortkowiarki, a ojciec jej urodził się na Wołyniu pod Łuckiem.

Pierwszy raz Marek z Bożeną odwiedzili Czortków w 1988 roku, a przy okazji zawadzili o Buczacze i Zaleszczyki. Z chłpięcego zainteresowania Trylogią zainteresowanie Kresami zaczęło się przeobrażać w studiowanie. Na seminarium prowadzonym przez prof. dra St. Nicieję student historii Marek Ściślak uzyskał akceptację tematu pracy magisterskiej o dziejach Czortkowa w latach 1522-1946. I zaczęło się. Pierwszy stopień trudności był nie do przekroczenia — dotarcie do źródeł znajdujących się w zasobach archiwalnych za wschodnią granicą, głównie we Lwowie i Kijowie, bo archiwa tarnopolskie zostały zupełnie zniszczone. Drugi stopień trudności wiązał się z brakiem perspektywy na stypendium czy okazjonalną pomoc finansową z uczelni — Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Opolu. Marek dojeżdżał tam z Brzegu, pracując na utrzymanie rodziny jako nauczyciel w szkole podstawowej oraz wychowawca w brzeskim Hufcu Pracy. Z tematu pracy magisterskiej nie zrezygnował. Dotarł do zamieszkałych w Koszalinie, Krakowie, Kluczborku byłych mieszkańców Czortkowa. Przyjeżdżał do Wrocławia i przeprowadzał kwerendę czortkow-

skich materiałów w Archiwum i Bibliotece Ossolineum. Poza tym szukał kontaktów kresowych. Szczęśliwie zetknął się z drem Marianem Czajkowskim, czortkowieńskim, lekarzem w Brzegu. Dzięki niemu wszedł w środowisko i wziął udział w corocznej pielgrzymce czortkowieńców do cudownego obrazu Matki Bożej Różaniec, która wysiedlona ze swojego kościoła oo Dominikanów w Czortkowie znajduje się obecnie w kościele dominikańskim św. Jacka w Warszawie przy ul. Freta 10. W każdą pierwszą niedzielę września przybywają tam czortkowieńcy z Polski i ze świata. Dr Czajkowski zarekomendował Marka przeorowi warszawskiego klasztoru. Sędziwy 90-letni ojciec Mateusz Schutter, dawny katecheta czortkowski (który po zamordowaniu 4 ojców Dominikanów w Czortkowie przez NKWD w lipcu 1941 roku przybył tam ze Lwowa i objął administrację parafii) udostępnił mu swoje archiwum.

Materiały rosły. Pomagali również inni życzliwie widząc, że kosztów pisania tej pracy nie pokrywa zupełnie nauczycielska pensja. Marek Ściślak zwrócił się zresztą o pomoc finansową do Wspólnoty Polskiej w Warszawie. Przyszła odmowa. Zwrócił się też (nie o pieniądze! lecz o wsparcie psychiczne) do pewnego sławnego w Polsce, a mieszkającego w Warszawie czortkowieńszczyzny. Nie odezwał się. Miejski Wydział Kultury w Opolu na pewno chciał pomóc, ale nie miał pieniędzy. Niestrudzenie pomagał dr Czajkowski oraz panie Krystyna Adamczuk i Zdzisława Majdańska, a także czortkowieńszczyzny. Lokalna prasa opolska zamieściła apel chłopca z Radomska, który uparł się, by wydrukować burzliwe dzieje Czortkowa od momentu nadania mu prawa magdeburskiego w 1522 roku przez Jerzego Czartkowskiego aż do 1946, kiedy kończyła się tzw. repatriacja. Wydanie książki stwarzało bardzo poważny problem finansowy. Na apel zgłosili się darczyńcy — firma Ovita-Nutritia z Opolu, Fabryka Silników Elektrycznych, Państwowe Zakłady Zbożowe i Przedsiębiorstwo Budownictwa Rolniczego w Brzegu. Rozpisana została subskrypcja na książkę o Czortkowie. Pewnego dnia do biura Zarządu Głównego Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich we Wrocławiu przyszedł autor pracy. Po rozmowie z członkami Zarządu, a zwłaszcza z jego skarbnikiem i równocześnie Fundacji Kresowej „Semper Fidelis” p. Danutą Tabiną-Juhasz, było już przesądzone, że książka wyjdzie. Wyszła i na pniu jest rozkupowana. Oto jej pełna nota bibliograficzna: Marek Ściślak, *Czortków w latach 1522-1946*, Wrocław 1993. Publikacja wydana we współpracy z Fundacją Kresową „Semper Fidelis” we Wrocławiu, s. 273, dokumentacja fotograficzna, aneksy i załączniki. A treść? Monografia to trochę nietypowa, albowiem wszystko, co zdołał zebrać autor w granicach III RP starał się umieścić w tej książce. Są tam materiały różnorodne — oprócz zarysu historii Czortkowa w I i II RP znajdzie tam skład grona nauczycielskiego gimnazjum czortkowskiego, spisy uczniów gimnazjum, którzy walczyli w wojnie polsko-ukraińskiej w 1918-1919 r., relacje uczennic i kompletów tajnego nauczania, relacje członków AK Inspektoratu Czortków, kilka wypisów z Księgi Metryk Koronnych z AGAD w Warszawie czy

spis abonamentów telefonów w Czortkowie na dzień IIX 1939 roku. Ze szczątkowych zasobów przedwojennej prasy polskiej, którą posiada Biblioteka Ossolineum we Wrocławiu (cały komplet został we Lwowie), autor wykorzystał kilka roczników „Znicza Podola”.

Na koniec pod rozważę tzw. czynników oficjalnych. W Niemczech w Oldenburgu (Justus Weg. 147a) działa owocnie Bundesinstitut für Ostdeutsche Kultur und Geschichte. A w Polsce? Z ogromnym trudem, samozaparciem, szukając ciągle środków w kraju i za granicą wydaje się publikacje związane z historią Kresów. Powstają one dzięki uporowi indywidualnych osób przeświadczonych o potrzebie takich prac, prezentujących

kulturę europejską na dawnych polskich Kresach Wschodnich w jej bogatym wymiarze chrześcijańskim, a także judaistycznym i mahomatańskim, no bo kto dzisiaj wie czy pamięta, że w woj. nowogródzkim istniał zaścianek szlachty tatarskiej noszący nazwę Birbaszów?

Działania na rzecz dokumentacji historycznej Kresów są rozproszone, prowadzone nieraz w „antywarunkach” dla pracy umysłowej. A jednak są. Czy wysiłki tych ludzi nie należałoby zjednoczyć i utworzyć centrum do badań historii i kultury Kresów Wschodnich.

Działalność niemieckiego instytutu w Oldenburgu nie szkodzi, jak widzimy, dobrym stosunkom polsko-niemieckim.

„Serce wydarte z polskiej piersi”, (Lwów w poezji) zebrała i opracowała Danuta B. Łomaczewska (Jerzy Wereszczyca)
Polska Fundacja Kościuszkowska, Warszawa 1993.

To już trzecie wydanie niezwykle poszukiwanej przez lwowiaków w latach 80-tych antologii wierszy o Lwowie zebranych przez Jerzego Wereszczycę, a wydanych w drugim obiegu przez oficynę wydawniczą „pokolenie” — wtedy pod tytułem „Semper Fidelis”.

Obecną, trzecią już edycję, znacznie poszerzoną wydała w 75-tą rocznicę Obrony Lwowa, pod nowym tytułem „Serce wydarte z polskiej piersi” Polska Fundacja Kościuszkowska. Antologia, podpisana już nie pseudonimem a prawdziwym nazwiskiem autorki jest X-tym tomem „Biblioteki Lwowskiej”. Zawiera 183 wiersze 97 poetów polskich — od XVI-towiecznego Sebastiana Klonowicza po

18-letnią lwowiankę, uczennicę szkoły nr 10 — Beatę Kost.

W sześciu tematycznych rozdziałach zgromadziła autorka utwory opiewające historię i bohaterstwo Lwowa, jego ludzi, śpiewny „bałak” i ten, niespotykany nigdzie więcej urokliwy czar Lwiewo Grodu, czar który sprawia, że nie tylko my rodowici lwowiaczy, ale także ci, którzy choćby najkrócej zetknęli się z miastem nad Pełtwią nie potrafią już zapomnieć, nie tęsknić nie śnić po nocach.

i tylko żal, że autorka zrezygnowała z umieszczenia w antologii niektórych wierszy, które były w poprzednich wydaniach, tłumacząc to — np. w przypadku „Orlątka” Or-Ota czy „Piosenki o Jurku Bitschanie” — Anny Fischerówny — dość niezrozumiale, ich popularnością. A mnie, wrocławiance od 1945 roku żal, że zabrakło również miejsca dla utworu Tadeusza Zaleskiego-isakowicza „Nowy Lwów”.

Danuta Kotowicz

Zdzisław Nowak, Lwowskie Baśnie i Legendy, *Jak król Sobieski Józka Batiara polubił*, ilustrował: Jerzy Flisak, Oficyna „PANDA”, Warszawa 1993

Niezwykajny skarb z Kalczej Góry, Czartowską Skalę, białoskórskich zbójców z Wysokiego Zamku, a także bardzo „człowieczych” świętych patronów Lwowa i przesympatyczne diabły lwowskie z Pełtwiąkiem na czele przypomina Zdzisław Nowak w wydanym przez oficynę „Panda” zbiorze baśni i legend lwowskich p. *Jak król Sobieski Józka batiara polubił*. Świetne ilustracje

Jerzego Flisaka sprawiają, że nie potrafimy już sobie inaczej wyobrazić ani tytułowego Józka ani bohaterów pozostałych jedenastu opowieści.

Pierwszy w historii Lwiewo Grodu wydany drukiem zbiór powinien stać się ulubioną lekturą czytelników od lat kilku do kilkudziesięciu. A do Państwa mam serdeczną prośbę, jeżeli pamiętacie Państwo jakieś lwowskie baśnie, legendy, opowieści spiszcie je i prześlijcie proszę na adres naszej redakcji. Postaramy się ocalić je od zapomnienia.

POSZUKIWANIA

POSZUKUJĘ RODZICÓW

Nie znam dokładnej daty, kiedy się z moimi rodzicami jako kilkumiesięczne niemowlę rozstałam: w grę wchodzi okres między wrześniem 1943 a majem 1944 roku. Rodzice wieźli mnie w wózku przez jedną z ulic Lwowa. W spauperyzowanym mieście wózek dziecinny był rzadkością, stanowi więc znak rozpoznawczy. W pewnym momencie ulica została otoczona i rozpoczęła się łapanka. Gdy Niemcy odjechali, pozostawiając na ulicy wózek z dzieckiem, rozpoczęło się rosyjskie bombardowanie. Ocalała mnie dozorkczyni jednego z okolicznych domów, która widząc całe to piekło, wciągnęła wózek z dzieckiem na klatkę schodową. Ona też odwoziła mnie potem do sierocińca i złożyła tam relację o okolicznościach, w jakich dziecko znalazła. Z tego sierocińca (Abrahamowiczów) w momencie jego likwidacji wzięli mnie jako niemowlę ok. 8-miesięczne przybrani rodzice.

Nigdy nie wyjawili mi, że nie byłam ich rodzonym dzieckiem i dlatego nie znam daty, kiedy wzięli mnie z ochronki. W każdym razie było to jeszcze za Niemców, a więc przed schyłkiem lipca 1944 roku. Być może jakąś wskazówką albo co do dnia feralnej łapanki, albo zabrania mnie z sierocińca jest data 8 kwietnia 1944 roku, którą nowi rodzice wpisali mi w metryce chrztu.

Wiem, że moi przybrani rodzice próbowali dojść mego nazwiska — bezskutecznie. Zaprzyjaźniony z nimi dr Leopold Teszner, szef lwowskiej Rady Głównej Opiekuńczej, który im w tym pomagał, z faktu, że w jego instytucji nikt się o zaginioną trójkę nie dowiadywał, wyciągnął wniosek, że moi prawdziwi rodzice byli „bieżącymi” pozbawionymi we Lwowie rodziny.

Podaję adres przyjaciół do ewentualnych odpowiedzi:

Pani Zofia Zimna
ul. Warneńska 2 m 55
02-759 Warszawa

Z ŻAŁOBNEJ KARTY

W Rzeszowie zmarł Józef Niżankowski

W wieku 92 lat 15 lutego 1994 r. zmarł w Rzeszowie Józef Niżankowski, Obrońca Lwowa i Kresów Wschodnich 1918-1920, żołnierz Września, członek Ruchu Oporu, więzień obozów sowieckich 1945-1956, Honorowy Członek Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich. Uroczystość pogrzebowa odbyła się w dniu 18 lutego br. na cmentarzu Wilkowyja.

Józef Niżankowski urodził się 16 czerwca 1902 r. w miejscowości Hnilcze pow. Podhajce. W r. 1910 rodzina przeniosła się do Lwowa i tam Józef Niżankowski uczęszczał do szkół.

Dnia 1 listopada 1918 r. 16-letni Józef Niżankowski zgłosił się ochotniczo do szkoły Sienkiewicza, pierwszego punktu Obrony Lwowa, włączając się do walki. Przesunięty na II Odcinek do szkoły im. Marii Magdaleny, brał udział w rozpoczętych działaniach mających na celu opanowanie ulic w kierunku do centrum miasta i punktów oporu wroga. W walce został ranny w głowę i znalazł się w szpitalu na Politechnice. Po wyleczeniu, na początku 1919 r. zgłosił się jako ochotnik do wojska i brał udział w dalszej kampanii wojennej 1919 r., a potem w wojnie z bolszewikami 1920, awansując do stopnia sierżanta. Otrzymał w walce postrzał w klatkę piersiową wyłączył go z działań. Za udział w wojnie 1918-1920 otrzymał odznaczenia: Krzyż Obrony Lwowa i Krzyż Niepodległości. Po wojnie podjął pracę na kolei, uzyskując po przeszkoleniu i egzaminach stanowisko maszynisty I kat. W 1939 r. zmobilizowany, pozostaje w służbie obrony kolei. W czasie okupacji pracował w swoim zawodzie, równocześnie działał w konspiracji lwowskiego węzła PKP do lutego 1945, kiedy został aresztowany przez NKWD, a następnie skazany na 10 lat łagrów. Przebywał w obozach w okolicach Irkucka i Bracka, w Tajsze i Władywostoku. Zwolniony w czerwcu 1956 r., powrócił do Polski, kierując się do Rzeszowa, gdzie osiedliła się rodzina po wyjeździe ze Lwowa. Podjął pracę na kolei, a w 1963 r. przeszedł na emeryturę. Był członkiem Związku Sybiraków, Honorowym Członkiem TML i KPW Oddziału Rzeszów. Brał udział w spotkaniach z młodzieżą szkoły im. Orłów Lwowskich, przekazując swoje przyżycia. Był dobrym Polakiem, wielkim Patriotą i prawym człowiekiem.

Cześć Jego Pamięci

Bolesław Opalek

* * *

Z ostatniej chwili...

Z ogromnym żalem dowiedzieliśmy się o śmierci naszego Drogiego, Nieodżałowanego Przyjaciela Zbigniewa Kuchcińskiego, prezesa przemyskiego Oddziału TLM i KPW. Będzie Go nam zawsze brakować!

Cześć Jego Pamięci!

* * *

1 marca 1994 r. po długiej i ciężkiej chorobie zmarł we Wrocławiu Mieczysław Rutowicz, pierwszy prezes Oddziału Kołomyjan „Pokucie” przy TML i KPW. Urodził się 24 lutego 1924 r. w Kołomyi, gdzie następnie uczęszczał do szkoły powszechnej im. św. Kazimierza, a następnie do gimnazjum im. Króla Kazimierza Jagiellończyka. Maturę otrzymał już po wkroczeniu Rosjan.

W czasie okupacji niemieckiej aż do 1944 r. ukrywał się w Kosowie przed wywiezieniem do Niemiec, jak i przed oddziałami SS-Hałyczyna. W maju 1944 r. został wcielony do Wojska Polskiego w Żytomierzu i skierowany do Szkoły Oficerskiej w Łucku, którą ukończył w październiku 1944 r. uzyskując stopień chorążego. Przydzielony do I Dywizji Piechoty im. Tadeusza Kościuszki przebył szlak bojowy przez Warszawę do Berlina, gdzie został ciężko ranny. Po wyzdrowieniu bierze udział w walkach z UPA na terenach lubelszczyzny.

Odnaczony został Krzyżem Grunwaldu III klasy, Krzyżem Walecznych oraz wieloma medalami. Do 1953 r. pełnił służbę w W.P. w stopniu majora, mieszkając we Wrocławiu. Z powodu złego stanu zdrowia i względów politycznych został przeniesiony do rezerwy. Pracował w budownictwie, następnie zaangażował się w pracę społeczną poświęcając się swym rodzinnym stronom — Pokuciu i Kołomyi. Organizował i niósł pomoc swym Rodakom oraz Kościołowi Katolickiemu.

Miejscem Jego wiecznego spoczynku nie stała się kresowa ziemia Kołomyi — pochowany został we Wrocławiu przy ul. Bardzkiej.

Cześć Jego pamięci!

* * *

Dnia 7 czerwca 1933 r. odszedł na wieczną wartę harcmistrz, inż. leśnik Czesław Wojtych. Urodzony w Stanisławowie, po ukończeniu tam szkoły średniej wstępuje na Wydział Leśny Politechniki Lwowskiej i po uzyskaniu dyplomu inżyniera leśnika podejmuje pracę zawodową. Już w 1927 r. jest w szeregach Harcerstwa Polskiego, będąc kolejno: zastępowym, skarbnikiem i przybocznym III Drużyny Harcerskiej im. Tadeusza Kościuszki w Stanisławowie. We Lwowie nadal działa w harcerstwie, jako skarbnik w drużynie st. harcerskiej im. Jerzego Godyńskiego. Osiedliwszy się po wojnie w Bielsku Białej, a następnie w Zakopanem, nadal udziela się społecznie, a w ostatnich latach aktywnie działa w Zakopiańskim Oddziale Towarzystwa Miłośników Lwowa. W roku 1991 wraz z grupą stanisławowian odwiedził swe rodzinne strony — Stanisławów i Lwów.

Wspaniały człowiek, gorący patriota, nieoceniony kolega i prawdziwy przyjaciel, oddany całym sercem Kresom Południowo-Wschodnim, które gorąco ukochał. Spoczął w Zakopanem na cmentarzu przy ul. Nowotarskiej obok zmarłej 2 lata wcześniej swej ukochanej Żony Haliny, rodowitej lwowianki.



Przy nekrologu ś.p. Krystyny Masiakowej w poprzednim numerze nie został zamieszczony list (ze względów technicznych) Pani Zofii Sadowskiej ze Stryja — za co przepraszamy. Podajemy go w wersji oryginalnej.

...rodzinne strony... Skrawek ziemi z którym związani jesteśmy poczuciem wspomnienia i miłości. Właśnie taką ziemią jest dla mnie ziemia lwowska i moje rodzinne miasto — Stryj. I z nim powiązane moje radości i smutki. To nasz pełen uroku i dumy, wdzięku i uroczystości — Kościół. Po swej architekturze nasz kościół może się porównywać z najpiękniejszymi świątyniami.

Nieraz komuniści zamierzali zamknąć kościół, bo był na przeszkodzie im jak każda świątynia. Ciężkie czasy były dla nas Polaków żyjących na terenach wschodnich. Długo nie było księdza w naszym kościele. W cierpliwości doczekaliśmy się ks. dziekana Augustyna Mednisa. Od tej pory życie kościoła ożywiło się. Pod kierownictwem ks. dziekana kościół był odremontowany. Na te bolszewickie czasy remont kościoła był nie do pomyślenia, ale jednak stało się. I znowu nasz kościół zajaśniał swoim urokiem. Ale, proszę państwa, przyszedł rok 1991. Ukraina stała się niezależna. Do naszej parafii z pracą, misyjną przybył z Polski ks. proboszcz Jan Nikiel. I od razu włączył się w życie kościoła. Umiejętność głoszenia Słowa Bożego, doskonała wiedza muzyczna mówią o niepowtarzalnej osobowości ks. proboszcza Jana. Cierpliwość, tolerancja, umiejętność wysłuchać drugiego człowieka — te cechy posiada ks. proboszcz. Mszy św. i nabożeństwa odbywają się w przepełnionym ludźmi kościele.

Nauka religii dzieciom nie była głoszona od czasów wojny. Nie było słychać głosów dziecięcych. A ks. proboszcz zasiał w duszach dzieci ziarno słowa bożego. Dzieci zgromadziły się wokół swego księdza. A jak pięknie nasze dzieci śpiewają po polsku!

W naszym kościele nie było ogrzewania i wody. Za tak krótki czas pod przewodnictwem ks. proboszcza zostało ustalone ogrzewanie i podłączona woda. Dzięki ks. mamy opiekę duszpasterską — opiekę na którą czekaliśmy tyle lat. Kiedy patrzę w kościele na radosne twarze dzieci i dorosłych — myślę o tym że warto było przeżyć te ciężkie, nieraz straszne czasy, by zobaczyć na własne oczy ten cud odrodzenia, odczuć tą radość pojednania w modlitwie.

Ks. proboszcz oddaje się pracom nie tylko w naszym kościele, ale podjął decyzję powrotu do życia niektórych świątyń całkowicie zrujnowanych. Właśnie, niedaleko Stryja w górach Karpaty w miasteczku Skolem — znajduje się kościół p.w. Siedmiu Boleści N.M.P. Zrujnowane ściany i dach, a na murach gniazdo bocianów, jednym słowem zwrócona nam została ta świątynia w stanie kompletnej ruiny. I ten kościół pod kierownictwem ks. proboszcza remontuje się. W tak trudnych czasach, kiedy materiały budowlane tak drogie i kupić ciężko, ks. proboszcz robi wszystko, ażeby robotnicy mieli czym pracować.

Pierwsza Msza św. po 1945 roku została odprawiona w czerwcu 1992 r. w 100-lecie konsekracji.

Kościół został wybudowany w 1892 r. Fundatorem Kościoła była rodzina Sieniawskich.

Nie do wiary, że kiedyś ten kościół zajaśnieje na wszystkie góry Karpaty. Tak, proszę państwa, taki już nasz ksiądz że nie zna spokoju. Ale w ogóle wszystkie nasze księży i ze Stryja, i z Żydaczowa ks. proboszcz Tadeusz, i z Chodorowa ks. dziekan Augustyn głęboko są zaprzyjaźnieni. Pomagają sobie nawzajem. Wszystkie parafie jak jedna rodzina. I tak wspólnie odbudowują kościół w Brzozdowcach. Kościół w Brzozdowcach p.w. Podwyższenia Świętego Krzyża. Poświęcona świątynia w 1769 roku, a ponowne poświęcenia dokonano w 1993 roku 23 stycznia pod przewodnictwem ks. biskupa Marcjana Trofimiaka. Brzozdowiecka świątynia słynęła przede wszystkim z posiadania łaskami słynącego obrazu Ukrzyżowanego, na którym Chrystus pocił się krwawymi kroplami.

Tak jak prawie wszystkie świątynie — kościół w Brzozdowcach jest w stanie kompletnej ruiny. Kościoły w Skolem i Brzozdowcach potrzebują wiele kosztów i pracy, aby doprowadzić ich do normalnego wyglądu i powrócić im dawną świetność. Wiele nam pomagali i nadal pomagają nasi rodacy z Polski.

Wielu Polaków ze Stryja, Skolego, Żydaczowa i Lwowa mieszkają w różnych krańcach świata. Prosimy Was, najsilniej i najgoręcej drodzy przyjaciele ziemi lwowskiej, jeżeli łaska Wasza odezwiecie się, pomóżcie nam w odbudowie tych świątyń.

Równocześnie serdecznie dziękujemy wszystkim Polakom, którzy z taką szczerością nam pomagają i z Polski i poza jej granicami.

Po prostu nie jestem w stanie wymienić wszystkich ofiarodawców którzy nam pomogli finansowo, bo nie wystarczyłoby miejsca na łamach gazety. Wszystkie obywatele Polacy ze Stryja i Skolego, z Żydaczowa i Brzozdowiec, a także z Chodorowa nisko kłaniają się Wam drodzy rodacy za pomoc moralną i materialną. Prosimy więc Boga, aby na nowo zamieszkał w tych świątyniach, które dla Jego chwały zostały wzniesione.

Adres: Zofia Sadowska
293-500 Stryj
ul. Drohobycka 55/10
Obw. lwowski

Ks. Stanisław Wlazło ul. Katedralna 10/15, 50-328 Wrocław poszukuje Józefa Koguta, syna Michała, urodzonego i mieszkającego w miejscowości Uherce koło Gródka Jagiellońskiego. Nawiążę chętnie kontakt z mieszkańcem z Ujercz.

ERRATA

Pana Józefa Szockiego, Autora artykułu „Lwowskie czasopisma pedagogiczne (1918-1939) w SF nr 18 str. 16 bardzo przepraszamy za zmianę nazwiska.

Błędnie został podany adres Pana prof. Jerzego Kowalczyka (SF nr 18 na str. 33). Poprawny adres brzmi: ul. Lublańska 24 m 2, 31-476 Kraków, tel. domowy 11-36-41

TML i KPW w Lublinie zwraca się do Państwa z apelem o pomoc przy wznoszeniu pomnika symbolu związków Lwowa i Kresów z Polską oraz z Lublinem.

Pomnik-replika rzeźby sprzed Pomnika Chwały na Cmentarzu Obrońców Lwowa ma stanąć przed Lubelskim Zamkiem jako wyraz hołdu dla tych, którzy *MORTUI SUNT UT LIBERI VIVAMUS*. Służyć ma pokoleniom, uczyć historii i patriotyzmu, przypominać o naszych Braciach żyjących na wschodzie.

Centralne obchody upamiętniające heroiczną Obronę Lwowa odbyły się w Lublinie po raz pierwszy w powojennej Polsce. 25 września 1993 roku miała miejsce uroczystość złożenia ziemi z Cmentarza Orląt oraz poświęcenia kamienia węgielnego i miejsca pod Pomnik Symbol Lwowa w obecności żyjących jeszcze Obrońców Lwowa.

Przeciwnicy idei wzniesienia Pomnika, którzy przez 45 lat konsekwentnie usuwali ze świadomości pokoleń Polaków pamięć o Lwowie i Kresach, w nowych warunkach wznowili i ożywili swoją działalność.

Prosimy o szerokie rozpropagowanie wśród członków Towarzystwa oraz mieszkańców regionu akcji gromadzenia funduszy na budowę Pomnika. Tylko zbiorowym wysiłkiem Polaków osiągniemy upragniony cel. W Oddziale Lubelskim działania te koordynuje V-ce Prezes Boleśław Maziak (tel. st. 36-304, tel. domowy 55-36-46).

Pragniemy oferować fundatorom pomnika następujące pamiątki-cegiełki świadczące o ich szczodrości: kartkę pocztową przedstawiającą fragment Pomnika na tle lubelskiego Zamku ze znaczkiem pocztowym Obrony Lwowa z 1939 roku i z okolicznościowym datownikiem; kopertę z herbem Lwowa, ze znaczkiem i z datownikiem j.w.; Kresy na starych widokówkach — zestaw nr 1; Kresy na starych widokówkach Lwów (spodziewamy się minimalnego datku około 10 000 zł za cegiełki z powyższych pozycji); kasety video z uroczystości w Lublinie z 25 września 1993 r. (cena 150 tys. zł); kasetę video z widowiska muzycznego „Lwów — Semper Fidelis”, wystawionego przez Teatr im. Juliusza Osterwy w Lublinie (cena 100 tys. zł).

MARIA SAWICKA

Wspomnienia Wielkanocne. Bałak nad Odrą!

MAŃKU: *Serwus Jóźku, daj ci Boży zdrowi!*

JÓŹKU: *Serwus Mańku! Ali co ty, na Ubliwany Punidziałyk w rzeczy si skompał, czy co?*

MAŃKU: *Ty najsampirw daj mi jakiś suchi ubrani, bo mi zemby kołataju zy zimna.*

JÓŹKU: *I kilicha! I kilicha! I gurony hirbaty! Ta to churoba gutowa. Prendzy! Prendzy!*

MAŃKU: *Zara ci upowim co bylu. Jak ja wychodził z kuściola i szed do ciebi na śniadani świunteczny, tu nagli z za winkla wyleciała banda młodych holodrygów i wylała na mmi kilka wiadyr wody.*

JÓŹKU: *Ta jak tu, przyd kuściolym ludzi pubożnych wodu pulewać! Tegu wy Lwowi najgorszy batiar by nie zrobił. A co inny ludzi na tu?!*

MAŃKU: *Inny zustali tak samu jak ja ublani, nawyt staruszki idoncy u lasey.*

JÓŹKU: *Mańku, ty tu siedź i grzej si, a ja tam skikny tylko na chwili, bu jak ni to mnie krew zaleji!*

MAŃKU: *Ta zaczekaj, tera ni ma co. Raz, ży jezd msza, a dwa, ży my już tam nasłali pulicji. Nu, jużym si rozgrzał. Na puciszeni powim ci, ży masz pud drzwiami kilka wiadyr, chtóry ja tym chuliganum udebrał. Bu ja ci braci z kilku facetami stoczył pod kościolym bitwy. Na konic ksiondz si do nas dolonczył.*

JÓŹKU: *Nu należał si! A daliście im purzondny facki?*

MAŃKU: *I tu jaki! Ja nawyt nie wiem, czy te wiadra są cały? Ja ich lał tymi wiadrami pu kryżbantach, pu makitrach, pu giczolach, dzie si dału. Inny czym chto miał. Jedyn panisku laski na nich pulamał.*

JÓŹKU: *A ksiondz co?*

MAŃKU: *Ksiondz zdjoł zy siebi taki gruby sznur i taż nim prał ili wlezi.*

JÓŹKU: *Co to si dzisiaj ni wyprawia! Tegu nigdy przed*

wojnu ni bylu. Ty Pamientasz, że my na Ubliwany Punidziałyk to tylko tak symbuliczni skrapiali kubity wodu i to pumiszanu jeszcze z wodu kolońsku. Takiego bandystwa jak tera ni bylu. Ogólni wszystku bylu inaczy.

MAŃKU: *Jo, jo, Jóźku, jak tagżysamu myśli. Powim ci nawyt, ży ja tera ni zabardzu lubim świenta. Wiency mi smutnu jak wysolu. To ni to co dawnij. Czy to puwietrzy jezd taki jak tamtu, czysty jak kryształ, świeży, wiosnu pachnioncy? Wy Lwowi pugoda była jak kuchajonca kubita, nizawodna, ni rubiła ci głupich nispodzianyk, a na Wilkanuc przyważni już bylu ciepłu.*

JÓŹKU: *Ta pewni. Jak człowiek raz wchowal z nafalinu du szafy zimowy ancugi — tu już ich wiency nie putrzybowal.*

MAŃKU: *Ludzi, a szczególnie wy świenta, tyż wyglundali inaczy. Du kuściola hulali udsztyftuwany jagby wyszli prostu zy sklepu. Nowy płaszczy, meszty lakirkowy abu zamszowy, pienkny baniaćki i kapeluszy, renkawiczki, apaszki, turebki, lisy na plecach. Aligancku bylu.*

JÓŹKU: *Cyłkim inny tera wszystku. Moży i my lepij ubrany jak kiedyś ali nie wim co, ja bym dal za tamty czasy.*

MAŃKU: *Bugaty my ni byli, ali przyd świentami zawdy dału si zarobić trochy szwajnerów, bu ludzi wielgi purzondki rubili i szukali „człowieka” du ruboty.*

JÓŹKU: *Wisz, ja du dzisiaj słyszy przedświunteczny trzypiani dywanów. Buch, buch, buch! — echim roznusił si pu wszystkich pudwórzach*

MAŃKU: *A baby stali w krótkich kieckach na parape-*

- tach i myli okna dynaturatym a po tym gazetu pucowali na glanc.
- JÓŹKU: A po tym w tych oknach upchanu penkaty puduszki, pirzyny, koldry i inny bambetli, wysoku jedny na drugich. Grzały si du słońca i witrzyły pu zimi.
- MAŃKU: Wszeńdzi udchudziłu wielgi prani w baliach na tarcy, ubuwionzkowu z mydłym Schichta i sodu, aby woda była mientka.
- JÓŹKU: Ta pewni. A na końcu dudawału si krochmal „Z kotkim” i nibieskiy farbki. Po tym chudziłu si du magla.
- MAŃKU: Ja ciotcy Bańdziuchowyyj zawszy nosił prani du magla.
- JÓŹKU: A ja u radcy Strońcia wiórkował i pastował pudłogi. Po tym czyścił ją wełnianymi szmatami tak, ży łatwu się byłu puślizgnuć i kuli pulamać. Cały pumiszkaní pachłu ud tegu terpentynu.
- MAŃKU: Wszystkie pumiszkania pachły wtedy terpentynu. Ja u takij jednej żony seńdziegu czyścił na świetna „Sidolem” wagi i cienżarki, a tag-ży inny rzeczy w domu, chtóry były musienżny — galki przy łózkach, muździerzy, ramy duubkola kaflí kuchennych. Kredu czyściłu si srebrny lyżki, widelcy, cukirnicy.
- JÓŹKU: Byłu tegu pu domach a byłu. A lampy, a żyrandoli na chtóry mówilu si „pajonki”, a purcyłana...
- MAŃKU: A ty pamnientasz JóŹku jak przyd świentami jeździli pu pudwórzach handełesy z wózkim, kupowali różny niputrzebny maneli i wulali głośnu: „Handele! Handele! Stary szmaaa... Bute...!”
- JÓŹKU: Punichtórzy mieli dla miglancy towar na wymiany. Taki wiatraczki z cyluloidu, jaja, blaszany piszczalki z kulurowym piórkim na końcu abu jeszcze mały pierścionki zy szkiełkim. Tu te gnoty z uchotu wynosili co si tylku dału z piwnicy czy zy strychu.
- MAŃKU: A ili na świenta szykuwału si frygania! Boży mój, tegu si upisać nie da! najważniejszy byli wyndliny. Ni ma dziś takich.
- JÓŹKU: Nawyt te tańszy wyroby, dla bidniejszych, byli pyszny. Jak sy spomny tamte wendzony szpyrki, salcesun abu kiszki, tu jeszcze dzisiaj mam uskomy.
- MAŃKU: A ciast różnych! Kubity wypiekali w braturach baby wielkanocny — żółty, pachnioncy, z rudzynkami...
- JÓŹKU: Serniki — a ni „syrowcy”!
- MAŃKU: Makuwniki — a ni „makowcy”!
- JÓŹKU: Cwibaki — a ni jakiś „keksy”!
-
- JÓŹKU: Ali si można byłu nawciskać, braci, ili dusza zapragni. Tera tu wszystku nazywa się „symboliczni”. Symboliczni jajku świcony, symboliczni szynka, ciastu...
- MAŃKU: Symboliczni éмага.
- JÓŹKU: O, co to, to ni! Tu si mylisz. Tegu to jest wiency jak dawnij. Tera to si ludzi zaliwaju bez umiaru i cali si tegu ni stydzu.
- MAŃKU: Jo, jo, wszystku inaczy. A na Boży Groby ty by miał siły tak jak dawnij obyjsć musowu dwanaści kuściółów?
- JÓŹKU: Ta dzie. Ja już przy czwartym wysiadam. Ali tyż wy Lwowi byłu wszeńdzi bliżyj. Wy Wrocławiu byz tranwaju abu autubusu ni ublecisz wszystkich.
- MAŃKU: A jaki śliczny byli Boży Groby! U Dumínikanów rubili taki niebu z wylonów, a z poza niegu świeciła si monstrancja. A czy ty spamnientał w chtórym kuścieli śpiwali kanarki?
- JÓŹKU: Tegu dobrzy nie wiem — abu u Sakramentyk, abu u Karmelitanyk Bosych. Ali pamnientam zatu, ży przy Bożych Grobach stali na straży harcerzy i wojsku. A żołnierz to był taki sztywny jak manekin, ani drygnuł.
- MAŃKU: JóŹku, a subotni rezurekcji! Jak miglancy zaczęli strzelać, tu końca tyj kanunady ni byłu. Ja sam kiedyś strzelał z kalafiórku abu z karbidu.
- JÓŹKU: Jo, jo! A ja nawyt z klucza, jak ni miałym cu innego!
- MAŃKU: Ud suboty wieczór właściwi zaczynali si świenta. Po tym już ludzi bawili si zdrowu i dobrzy byłu.
- JÓŹKU: Ja zawdy wołał Wilkanuc ud Bożego Narudzenia. Dla mni Wilkanuc du tera pachni w pamnieńci wendzonku i Baczewskim.
- MAŃKU: A wiesz, ja ni jezdy pewny czy ni wolim Boży Narudzeni? Dla mni byłu taki wiency syrdeczny, pulunczony z zachwytyem nad malentkim Dziontkim.
- JÓŹKU: Zima zawszy była fajna, nu i ja fest lubił kulendować.
- MAŃKU: JóŹku, my ud tego wzdychania si rozchorujemy. Czegu my si właściwi smucimy, jak dzisiaj jezd świentu?
- JÓŹKU: Masz recht Mańku. Falujemy du pukoju, dzie ja wszystku przygotował.
- MAŃKU: Ali u ciebi ładni JóŹku! I jak śliczni stół nakryty, nie powim, całkim smaczni wyglonda... O, widzy owis w doniczcy i baranka. A baranyk jakby stary?
- JÓŹKU: Pewni ży stary jak ma wiency jak pińdziesiunt lat. To lwowski baranyk, z gipsu, trochi poubijany. Na pucieszeni ja mu zmajstrował nowy churungiewki, amarantowu-granatową, naszú lwowskú.
- MAŃKU: Mnie tyn baranyk przypomina cukierni u Zaleskiego, dzie na Wielkanuc była taka wystawa, ży odyjsć ni można byłu. Z kulurowegu marcypanu zrobiony byłu wszystku co jezd na stoli wielkanocnym.
- JÓŹKU: Nu, tu siadaj Mańku i czenstuj si. Zaczniemy ud jajka świenconego i śledzia.
- MAŃKU: Ho, ho! Widzy tu tyż śliczny karafki zy szklanym korkim, ona zicher jezd przedwujenna.
- JÓŹKU: Zgadłyś. A w nij nalewka, chtóru sam dla nas zrobiłym. Nu, za naszú zdrowi i dawny lata! Daj ci Boży!
- MAŃKU: I tobi JóŹku na zdrowi! Pudzieńkować Upatrzości, że my jeszcze razym sidzimy przy stoli wielkanocnym. A moży pujdziemy jeszcze du Lwowa?
- JÓŹKU: Nu tu zaśpiwajmy sobi razym:

„Moży uda się ży powróćym zdrów
I zobaczy miastu Lwów!...”

Z ŻYCIA TOWARZYSTWA

DANUTA ŚLIWIŃSKA

I. Spotkanie w Tarnowie

W dniach 15-16 stycznia 1994 r. odbyło się w Tarnowie zebranie Komisji d/s Współpracy z Polakami na Wschodzie przy Zarządzie Głównym Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich. Aktualny skład Komisji przedstawia się następująco:

- | | |
|------------------------|---|
| 1. Zbigniew Kuchciński | — Oddział TML i KPW Przemysł |
| 2. Adam Lewicki | — Oddział TML i KPW Tarnów |
| 3. Jerzy Masior | — Klub TML i KPW Nowy Sącz |
| 4. Władysław Olszowy | — Oddział TML i KPW
Gorzów Wielkopolski |
| 5. Danuta Śliwińska | — Oddział Bydgoszcz;
Przewodnicząca Komisji. |

W spotkaniu udział wzięli przedstawiciele oddziałów i klubów z Bydgoszczy, Bytomia, Gdańska, Gorzowa Wielkopolskiego, Katowic, Krakowa, Nowego Sącza, Przemysła, Rzeszowa, Tarnowa, które mają zamiar przyjąć w bieżącym roku na wakacje w kraju dzieci polskie ze Wschodu. Na spotkanie to przyjechał także Stanisław Czerkas, prezes Zarządu Głównego Towarzystwa Kultury Polskiej Ziemi Lwowskiej. Poza tym uczestniczyli przedstawiciele Sekcji Pomocy Polakom na Wschodzie Klubu Inteligencji Katolickiej z Wrocławia, Kuratorium Oświaty i Wychowania oraz Związku Harcerstwa Polskiego z Tarnowa.

Tematyka spotkania dotyczyła ogólnej organizacji kolonii i obozów oraz koordynacji działań w tym zakresie. Omawiano sposób rekrutacji dzieci na wakacje organizowane w Polsce, sposoby finansowania kolonii, możliwości transportowe, zapobieganie dwukrotnemu przyjazdowi tych samych dzieci w ciągu jednego lata itd. Dzieleno się doświadczeniami w tym zakresie. Na zakończenie przyjęto ustalenia, które powinny usprawnić dotychczasową organizację wypoczynku letniego dla dzieci polskich mieszkających za wschodnią granicą. Oto ich zasadnicza treść:

1. Oddziały i kluby TML i KPW powinny zapraszać na kolonie dzieci z terenów wschodnich, przypisanych im pod opiekę.
2. Zaproszenia z listami dzieci i wychowawców akceptowane będą przez Zarząd Główny TKPZL we Lwowie.
3. Rekrutację dzieci na wakacje w Polsce prowadzić będą wspólnie Zarząd Główny TKPZL oraz parafie rzymskokatolickie.
4. Niezależnie od powyższych ustaleń zapraszane będą w dalszym ciągu na obozy harcerskie dzieci z już istniejących drużyn w szkołach polskich we Lwowie, zespoły wokально-taneczne oraz dzieci na warsztaty artystyczne.
5. Wszystkie dzieci, które przyjadą do kraju na wakacje, powinny być przebadane przez lekarzy w Polsce.

6. Zarząd Główny TKPZL we Lwowie zobowiązał się odwiedzić do granicy i zabrać z powrotem z granicy te dzieci, które nie będą mogły być odwiedzone przez zapraszających do miejscowości z których pochodzą.
7. Oddziały i kluby, które chcą zaprosić na wakacje dzieci ze Wschodu, posiadające na ten cel środki finansowe, a nie mające możliwości zorganizowania kolonii — mogą z tym zwrócić się do Klubu w Nowym Sączu, który ma na swoim terenie duże możliwości organizowania wypoczynku letniego.

II. Nowe makroregiony.

Celem skuteczniejszego działania Towarzystwa na obszarze Polski, dla przeprowadzania wspólnie szeregu akcji (pomoc charytatywna, organizowanie kolonii, obozów, imprez kulturalnych, goszczenie zespołów artystycznych z kraju i zza wschodniej granicy, wycieczek na Kresy, spotkań, odczytów itp.) powołano w ostatnim czasie trzy nowe makroregiony:

1. W Krakowie pod koniec ubiegłego roku — Makroregion Małopolski, obejmujący oddziały i kluby TML i KPW od Krakowa do Przemysła (Rzeszów, Tarnów, Nowy Sącz, Jarosław, Sanok, Przeworsk, Krynica, Rabka, Zakopane).
2. W Katowicach w styczniu br. — Makroregion Śląski, obejmujący oddziały TML i KPW w Bytomiu, Gliwicach, Katowicach, Tychach i Zabrze. Wyraziły chęć przystąpienia doń oddziały w Bielsku-Białej i Częstochowie oraz Klub w Opolu.
3. W Bydgoszczy 29 stycznia b.r. — Makroregion Północno-Zachodni, obejmujący oddziały i kluby TML i KPW w Bydgoszczy, Elblągu, Gdańsku, Gdańsku-Wrzeszczu, Gdyni, Gorzowie Wielkopolskim, Koszalinie, Olsztynie, Szczecinie, Szczecinku i Toruniu.

III. Restauracja Lwowska w Bytomiu

W dniu 11 grudnia ubiegłego roku otwarta została Restauracja Lwowska w Bytomiu o interesującym i przyjemnym wnętrzu. Zgodnie z życzeniem miejscowych władz ma pełnić również funkcje kulturalne. Występować tam będą zespoły artystyczne, organizowane mają być wieczory literackie itp.

Na otwarciu obecne były miejscowe władze, przedstawiciele Zarządu Głównego TML i KPW w osobach sekretarza Danuty Śliwińskiej oraz wiceprezesa Emila Teśluka. Wśród zaproszonych gości był Jerzy Janicki z małżonką, Kazimierz Górski, dr Jacek Wilczur i prof. Edward Prus. Część artystyczną wypełnił występ solisty Opery Śląskiej p. J. Skalskiego, występ regionalnego zespołu „Ślązaczek” oraz kabaretu „Pacalycha”. Nad całością imprezy tak oficjalnej, jak i artystycznej czuwała p. Danuta Skalska, prezes Oddziału TML i KPW w Bytomiu i jednocześnie reżyser i jedna z głównych aktorek kabaretu „Pacalycha”.

DO LWOWA



**WYCIECZKI
PRZEJAZDY
PRZEWOZY
DARÓW**

**GRANICA BEZ KOLEJKI!
BOGUSŁAW SEŃCZUK
ZAPRASZA DO LWOWA!**

kontakt tel. do godz. 21.00 (0-71)
51-67-44 WROCŁAW

»LEOPOLIS EXPRES«

Biuro Turystyczno-Usługowo-Handlowe. WROCŁAW ul. Teatralna 10 p. 4.

Tel. 44-16-56 do 58 wew. 409 w godz. 10⁰⁰-16⁰⁰. Konto: PKO BP II O/WROCŁAW NR 93523-296849-136

Organizujemy: wycieczki do Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich przejazdy do rodziny i znajomych wycieczki szkolne i pielgrzymki, przewozy darów oraz paczki dla rodzin.

Zamówienia, zlecenia i korespondencję prosimy kierować na adres pocztowy: 50-950 WROCŁAW 2 BOX 409

Sprzedajemy: – vouchery indywidualne na pobyt na wschodzie,
– lwowskie pamiątki, obrazy, akwarele, grafiki, fotosy,
– lwowskie kartki świąteczne, widokówki,
– wydawnictwa o Lwowie i Kresach,
– stare i nowe plany miasta, mapki, kasety z nagraniami lwowskimi

Kolportujemy: Gazetę Lwowską na teren całej Polski i świata (grupowo i indyw.). Posiadamy numery archiwalne (od 1/90)

Opłatę za Gazetę Lwowską prosimy przekazywać po jej otrzymaniu na konto:

Bogusław Seńczuk 54-217 WROCŁAW ul. Kłodnicka 37 m 9
PKO BP I ODDZIAŁ WROCŁAW NR 93510-105330-170-4

UWAGA! tylko z dopiskiem DAR DLA GAZETY LWOWSKIEJ

DOM „JUHASZÓWKA”

nad Dzikim Potokiem (560 m n.p.m.), 26 do 30 miejsc noclegowych

wystrój myśliwski domu – „w starym stylu”

Możliwość zorganizowania:

- ogniska,
- dyskoteki,
- wycieczki z przewodnikiem

Na zamówienia — śniadania, kolacje
tanio — miło — smacznie!

Chcesz naprawdę wypocząć?

Jedź do Juhaszówki do Karpacza

58-540 Karpacz, ul. Górna 4
(koniec Kolejowej)
tel. 19-739





Piast



BROWARY DOLNOŚLĄSKIE S.A.



50-302 WROCŁAW
ul. Jedności Narodowej 204/210
tel. 21 22 00, fax 22 27 23, tlx 071 2458

Oferują:

szeroki asortyment piwa
pasteryzowanego w butelkach,
beczkach, cysternach oraz
beczkach KEG.



Największy zakład Browar Piastowski we Wrocławiu — szczyty się stuletnią tradycją — rok założenia 1893. Piwa Browaru Piastowskiego zdobyły 9 medali na światowych konkursach jakości piwa w Paryżu, Londynie, Brukseli, Amsterdamie oraz 18 medali na krajowych konkursach jakości. Browar Mieszczański specjalizuje się w produkcji piwa Kosher.

*Znakomita jakość,
niepowtarzalny smak,
nie słabnące zainteresowanie
i uznanie konsumentów.*



HOTELE „ORBIS”

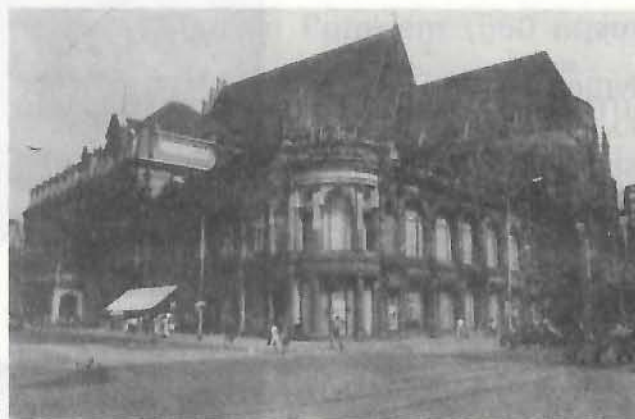
★★★★ HOTEL „WROCLAW”



WROCLAW, ul. Powstańców Śląskich 7,
tel. 61-46-51, fax 61-66-17,
tlx 0715252, komertel 3912 2036.

Zbudowany przez fińską firmę YP-Group w 1980 roku. Hotel 11-kondygnacyjny, zlokalizowany w pobliżu centrum handlowo-usługowego i centrum zabytkowego. Do dyspozycji: 300 pokoi w pełni klimatyzowanych (z telewizją satelitarną), w tym 5 apartamentów z których 2 są luksusowe (niebieski apartament książęcy), restauracja, kawiarnia, drink-bar, sauna-bar, sale wielofunkcyjne (200 miejsc), wyposażone w najnowsze urządzenia audiowizualne i przystosowane do obsługi różnych imprez. Do dyspozycji zespół rekreacji (basen, sauna, solarium, masaże), zakład fryzjerski, punkty sprzedaży różnych upominków, taxi hotelowe, myjnia samochodów, parking strzeżony, usługi „Business Centre”, Casino.

★★★ HOTEL „MONOPOL”



WROCLAW, ul. Modrzejewskiej 2,
tel. 370-41, fax 44-80-33, tlx 0712225.

Jeden z najstarszych hoteli wrocławskich, zbudowany w 1892 roku w efekcie procesów adaptacyjnych dwóch budowli: domu handlowego i hotelu. Obiekt zabytkowy, usytuowany w centrum handlowo-usługowym i zabytkowym. Hotel posiada: 70 pokoi z łazienkami i bez łazienek, 3 apartamenty, restaurację, kawiarnię, drink-bar. W salach restauracyjnych (199 miejsc) i kawiarni (148) organizowane są bankiety i inne przyjęcia okolicznościowe. Restauracja „Monopol” organizuje obsługę imprez na zewnątrz — na wszystkich okazje. Hotel oferuje: sprzedaż wyrobów ze srebra, bursztynu oraz galerię sztuki współczesnej i antyków.

★★★ „NOVOTEL”



WROCLAW, ul. Wyścigowa 35,
tel. 67-50-51, fax 67-52-75, tlx 0715198, komertel 3912 2042.
Obiekt zbudowany w 1975 roku przez firmę francuską, wchodzi w skład grupy ACCOR. Ma 153 pokoje, restaurację, cocktail-bar, grill, sale wielofunkcyjne. Obsługa różnych imprez. Punkty z upominkami. Parking strzeżony.

★★★ HOTEL „PANORAMA”



WROCLAW, pl. Dominikański 8,
tel. 44-36-81, fax 44-11-25, tlx 0712543, komertel 3912 4118.
Zbudowany w 1970 roku. Ma 110 pokoi (5 apart.) restaurację, kawiarnię, drink-bar. Obsługa różnych imprez. Punkty z upominkami. Parking strzeżony.

★★★ „MOTEL”



WROCLAW, ul. Lotnicza 151,
tel. 51-81-53, fax 51-85-77, tlx 0712281.
Zbudowany w 1981 roku przez fińską firmę YP-Group. Ma 74 pokoje, restaurację. Parking strzeżony. Zlokalizowany przy trasie Wrocław—Zielona Góra—Szczecin.

Lista Darczyńców na Fundację Kresową w styczniu i lutym 1994 r.

	zł
Jerzy Matejka, Wołomin	200 000
Florian Gronowski, Gorzów Wlkp.	150 000
Anna Pawlak, Toruń	100 000
Wiktor Mokanek, Jelenia Góra	100 000
Z.T. Marciński, England	364 500
TML Klub Oleśnica	100 000
Józef Tarka, Zielona Góra	200 000
Andrzej Jeżewski, Będzin	80 000
Bronisław Gajewski, Tychowo	50 000
T.W. Krzewscy, Jasło	500 000
Irena Konieczna, Szczecin	50 000
Janina Gajdamowicz, Bochnia	100 000
Helena Niwińska	500 000
Krzysztof Braun, Sanok	100 000
Karol Wróblewski, Grębocice	50 000
Julian Chniołek, Poddębice	150 000
Ludwik Klonowski	300 000
Andrzej Niesiołowski, Warszawa	50 000
Stanisław Hanna Leja, USA	404 600
Jarosław Bułat, Katowice	200 000
Urszula Sęk, Żary	100 000
Jarosław Adamkiewicz	1 585 300
Roman Makarewicz, New York	440 400
Antonina Żemantowska, Warszawa	100 000
Zarząd Główny TML i KPW, Wrocław	13 295 000
Zofia Kamińska, Kanada	48 \$

Wszystkim Darczyńcom składamy najserdeczniejsze podziękowania

OD WYDAWCY

Wszystkim Drogim Czytelnikom naszego pisma składamy najserdeczniejsze życzenia Wesołego Alleluja. Niech Zmartwychwstanie Pana napelni serca wszystkich Kresowiaków uczuciem nadziei na lepszą przyszłość. Życzenia te kierujemy szczególnie do naszych Rodaków za wschodnią granicą.

Wszystkich, którzy chcieliby wypowiedzieć się na łamach naszego pisma zawiadamiamy, że prowadzimy stałe rubryki pt.: **Historia, Wspomnienia, Kresowi Kapłani, Aktualności, Wśród książek i czasopism, Recenzje, Komunikaty, Apele, Informacje, Poszukiwania, Korespondencja, Z życia Towarzystwa, Z żałobnej karty, Reklamy.** Informujemy, że za artykuły nie płacimy. Autorom artykułów wysyłamy egzemplarze SF bezpłatnie.

Przyjmujemy tylko maszynopisy w 2 egzemplarzach, zdjęcia po wykorzystaniu odsyłamy. Za zamieszczanie apeli, komunikatów, informacji, poszukiwanie rodzin oraz wspomnień w rubryce z „Żałobnej karty” przyjmujemy wolne datki na pismo. Zamieszczanie reklamy jest płatne wg cennika (można negocjować!):

cała strona	—	6 000 000 zł
1/2 strony	—	3 000 000 „
1/4 „	—	2 000 000 „
1/8 „	—	1 000 000 „
jedno słowo	—	10 000 „

Nasz „Semper Fidelis” dociera do wielu krajów na wszystkich kontynentach, warto więc reklamować się na naszych łamach.

Przyjmujemy zamówienia na sprzedaż oprawionych roczników „Semper Fidelis”. Prowadzimy również sprzedaż archiwalnych pojedynczych numerów. Za liczną korespondencję kierowaną do Wydawcy serdecznie dziękujemy, jednocześnie przepraszając, że nieraz tak szybko nie odpisujemy. Brak nam jednak czasu, a pracujemy społecznie.

W imieniu Rady Fundatorów

Prezes

mgr Jan Ziembiecki

W imieniu Zarządu Fundacji Kresowej

Dyrektor

mgr Danuta Tabińska-Juhasz

FUNDACJA KRESOWA „SEMPER FIDELIS”

Fundacja została powołana w grudniu 1990 roku we Wrocławiu. Celem Fundacji jest:

- ochrona dziedzictwa historycznego i kulturalnego Kresów Wschodnich Rzeczypospolitej,
- wszechstronna pomoc społeczności polskiej zamieszkującej Kresy,
- szerzenie prawdy historycznej o roli i znaczeniu Kresów Wschodnich w dziejach narodu polskiego.

Cele te Fundacja zamierza realizować poprzez:

- gromadzenie i efektywne wykorzystanie środków finansowych i rzeczowych otrzymywanych z kraju i zagranicy,
- działalność wydawniczą – kontynuowanie wydawania pisma Lwowian i Kresowian „Semper Fidelis” oraz innych wydawnictw związanych z szeroko pojętą tematyką kresową,
- organizowanie kolonii, obozów, zimowisk dla dzieci rodzin polskich w Ojczyźnie, pobytów leczniczych i sanatoryjnych dla najbardziej potrzebujących,
- fundowanie stypendiów dla uczniów i studentów,
- wspieranie inicjatyw zmierzających do ratowania i ochrony pamiątek przeszłości tych ziem,
- współpracę z innymi organizacjami krajowymi i zagranicznymi zajmującymi się dawnymi i najnowszymi dziejami Kresów Wschodnich Rzeczypospolitej,
- popieranie działalności popularyzatorskiej i naukowej odnoszących się do tego regionu.

Fundacja przygotowana jest, przy dodatkowym wsparciu finansowym, do prowadzenia wszelkiej działalności przedstawicielskiej, wytwórczej, handlowej, turystycznej i artystycznej.

Każdy dar pieniężny lub rzeczowy przyczyni się do ocalenia polskiego dziedzictwa kulturowego, pomocy dla ludzi jej potrzebujących, wsparcia duchowego i materialnego Polaków obecnie zamieszkujących na Kresach.

Prosimy o powiadomienie swoich krewnych, przyjaciół, znajomych i klientów o istnieniu i działalności Fundacji. Będziemy wdzięczni za każdy, nawet najskromniejszy datek.

Uprzejmie informujemy, że zgodnie z obowiązującymi przepisami prawnymi – z podstawy opodatkowania odlicza się kwotę dotacji przekazanych na działalność Fundacji.

Nasze konto:

PKO IV/O Wrocław 93549-10 012-132-3.

Wrocław, Rynek Ratusz 7/9. Fundacja Kresowa „Semper Fidelis”.